

NASZE

Cena 20 sant

ŻYCIE

POLSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Rok III

Ryga, 22 sierpnia 1937 r

№ 34 (140)

M. Miż-Miszyn

IV-te Święto Sportu Polskiego w Łotwie

O znaczeniu sportu i wychowania fizycznego mówiliśmy na łamach naszego pisma już niejednokrotnie. I dzisiaj w „Awangardzie” zabiera na ten temat — a ściślej na temat kolejnego Święta Sportu Polskiego w Łotwie — głos p. Witold Massan, domagając się traktowania sportu w płaszczyźnie nieuniknionej w tym względzie współzawodnictwa oraz ustalając granice tego współzawodnictwa, przechodzącego często, w zapale walki, w nieszlachetną, a nawet wręcz nieuczciwą konkurencję.

Poruszenie tych spraw w przedzie dniu Święta Sportu Polskiego w Łotwie, już czwartego z kolei, jest, oczywiście, na czasie. Ale do samego tylko poruszenia tych spraw nie można się ograniczyć: trzeba wytworzyć dokoła nich taką atmosferę, w której sport nasz nie tylko by się rozwijał, ale też świadomie i konsekwentnie spełniał te bardzo poważne zadania, jakie przed nim stawiamy.

Jakież to będą zadania? Zanim na to pytanie będziemy mogli odpowiedzieć, trzeba będzie ustalić nasz stosunek do sportu oraz omówić, przynajmniej pobieżnie, niektóre jego bolączki. Zreasumujmy więc to, co na ten temat zostało na łamach naszego pisma już powiedziane.

A więc:

Sport nie powinien być dla nas (przynajmniej dla kierownictwa naszego sportu) celem samym w sobie, ale tylko jednym ze środków do celu wiodących. Bówiem ma znaczenie nie tylko to, ile metrów rzuciła ta lub owa zawodniczka dyskiem, ale też (i to — wydaje się przede wszystkim), co przedstawia i reprezentuje osoba, rzucająca dyskiem w ogóle.

Nie zawsze rekord jest świadectwem dobrych wyników naszej ogólnej pracy sportowej. Już niejednokrotnie zarysowywały się w naszych szeregach jednostki, które w sensie sportowym dobrze się zapowiadały. Niestety, nie reprezentowały one nie z wartości społecznych, o które w pierwszym rzędzie nam chodzi, i dlatego niebawem od nas odpadły. Nie rzut więc dyskiem, czy pchnięcie kulą, ale moralna postawa danej jednostki decyduje o war-



Znakomita Polka, Stanisława Walasiewiczówna (w środku), nasza sławna rodaczka z Ameryki, znajduje się ostatnio w nadzwyczajnej formie, umożliwiającej jej osiągnięcie coraz to nowych sukcesów, rozslawiających imię Polki na szerokim świecie

tości i przydatności jej dla nas. Narzekamy na niski poziom naszych imprez, domagamy się szlachetnego współzawodnictwa. Czego to dowodzi? Czy nie tego, że nasza młodzież nauczyła się zaledwo mechanicznego wykonywania pewnych czynności, nie dając nic z ducha, który jednak był i będzie zawsze promotorem wszystkich naszych poczynań?

To, co powiedzieliśmy wyżej, nie wyklucza bynajmniej ani zaprzecza konieczności osiągania coraz to sprawniejszej doskonałości fizycznej, ustalania nowych rekordów, traktowania współzawodnictwa, jako jednego z poważniejszych dopingów w sporcie etc. Wszystko to, oczywiście, powinno mieć swoje miejsce, wszystko powinno się znaleźć i mieć wzięcie w szeregach naszych sportowców. Ale nie tylko to.

Trzeba mieć silną wolę i pewność siebie, a przyszłość jaśniejsza będzie, niż smutne nieraz „dzisiaj”

Józef Piłsudski

Nie poszliśmy narazie ze sportem w głąb, w szerz, w masy. Jak i na innych odcinkach naszego życia, sport ogarnął w naszym społeczeństwie tylko tę trochę młodzież, która znalazła się w ZPM (kilka ośrodków sportowych), w Reducie (najstarszy ośrodek sportowy) i w „Harfie”.

Nie stworzyliśmy sportowi naszemu należnych i potrzebnych możliwości ze tak powiem technicznych. W sensie sprzętu sportowego, boisk, sal sportowych — nie możemy konkurować ze sportem łotewskim ani którymkolwiek bądź innym w Łotwie. W tym względzie jeszcze wciąż musimy nadrobić miną, tracąc niejednokrotnie mniej cenne moralnie jednostki na korzyść klubów czy organizacji bardziej zasobnych w sprzęt, bogatych w odpowiednie siły wykwalifikowane (instruktorskie), których my — mimo usiłowań wydawało-

Kronika polityczna

— Prezydent Państwa dr. K. Ulmanis przyjął sekretarza generalnego Ligi Narodów J. Avenola na specjalnej audiencji w dniu 17. b. m.

— Podczas pobytu swego w Łotwie sekretarz generalny Ligi Narodów J. Avenol wygłosił 18. b. m. odczyt w nowej auli Uniwersytetu. Na odczyt m. in. obecni byli ministrowie Munters, Tentelis, Gulbis i Ekis, przedstawiciele korpusu dyplomatycznego, przedstawiciele świata kulturalnego, politycznego, dziennikarskiego etc.

Odczyt J. Avenola poświęcony był roli Ligi Narodów w umocnieniu pokoju powszechnego. Wieczorem tegoż dnia minister spraw zagranicznych Munters wydał na cześć Avenola przyjęcie w Kasynie Oficerskim.

W dalszym ciągu swego pobytu w Łotwie Avenol odwiedził Izbę Rolniczą w Jelgawie oraz kilka wzorowych gospodarstw w okolicach Jelgawy.

— W dniach 24—27 b. m. w drodze z Tallinna przybędą do Rygi trzy polskie okręty, wchodzące w skład marynarki wojennej Rzeczypospolitej Polskiej.

...kulturalna

— W dniu otwarcia pierwszego Kongresu Historyków Bałtyckich Prezydent dr. K. Ulmanis wygłosił przemówienie, w którym w serdecznych słowach powitał delegatów przybyłych na kongres z dalekich i bliskich ziem, oraz tych wszystkich gości, którzy swoim licznym stawieniem się na kongres wykazali swoje zainteresowanie tą gałęzią wiedzy.

Dr. K. Ulmanis podkreślił, że historia należy do najpopularniejszych nauk, że potrafi zainteresować każdego, kto posiada żywy umysł i wrażliwą duszę.

Miejsce kronik, zapisek chronologicznych, anegdot, faktów — zajęła nauka historii w pojęciu naszych czasów.

Prelegent zwrócił uwagę na to, że historia jest nauką młodą i że podejście do niej w sposób naukowy ukształtowało się w specjalnym okresie.

Okresem tym był wiek 19, wiek, który Prezydent określił jako okres wolności myśli, wybujałego indywidualizmu, zdo-

byczy technicznych, naukowych i dobrobytu. Okres ten jednak nie potrafił dać odpowiedzi na pytania: „Kto tworzy historię”?

Różnica 19. i 20. wieku leży w tym, że pierwszy tworzył historię, jako naukę, opierając się na kronikach i politycznej syntezie, drugi uznał syntezę masy i polityki.

Do odpowiedzi na to pytanie „Kto tworzy historię” przyczyniła się, według dr. K.



Ulmanisa, wielka wojna światowa, po której ludy, które w wieku 19. istniały raczej w pojęciu etnicznym, zdobyły prawa polityczne.

Prezydent Ulmanis uważa, że tylko ten może zrozumieć historię innych ludów, który się sam zagłębił i zrozumiał historię swego własnego narodu. I tylko ten jest powołany do tworzenia historii, który należy do twórcy historii — do narodu.

Nauka o narodzie przeżyje napewno wiele innych teorii i hipotez, w które jest tak bogata historia.

Kończąc swe przemówienie Prezydent dr. K. Ulmanis wskazał na to, że obecny kongres odbywa się w warunkach, kiedy narody Bałtyckie cieszą się wolnością, kiedy same myślą o swej przyszłości i są znów

TYDZIEŃ



Uczestnicy Zjazdu historyków Bałtyckich podczas wycieczki po Łotwie; na pierwszym zdjęciu — z lewej — na terenie Pałacu Prasy w Siguldzie — od lewej — rektor Uniwersytetu Lotewskiego prof. M. PRIMAN, sekretarz generalny kongresu prof. FR. BALODIS, prof. jednego z uniwersytetów niemieckich O. SCHEL, b. rektor Uniwersytetu Lotewskiego prof. J. AUSZKAP i rektor Uniwersytetu w Krakowie prof. S. KUTRZEBBA; na drugim zdjęciu od lewej — w Siguldzie — jeden z organizatorów kongresu prof. K. STRAUBERGS oraz prof. Uniwersytetu w Helsinkach I. MIKOLA; na trzecim — w Cesis — rektor uniwersytetu w Tartu prof. KRUS oraz prof. SZWABE

aktywnymi twórcami swej historii. Te narody podają dziś przyjacielom dłoń narodom, które oddawna cieszą się wolnością — pragnąc kroczyć wraz z nimi wspólną drogą, ciągle naprzód, wzwyż, w pokoju i współpracy. (g)

(Dokończenie ze str. 1)

by się skutecznych — wciąż posiadamy za mało.

Wszystko, co powiedzieliśmy, określa sytuację naszego sportu i daje najbardziej ogólny obraz jego bolączek. Jest w tym również prawie całkowita odpowiedź na pytanie, jakie stawiamy, co do zadań tego sportu.

Stręścimy ją: W płaszczyźnie zdrowego współzawodnictwa sportowego, owianego właściwą nam, Polakom, szlachetnością przeciwników w walce, pragniemy w ramach naszych organizacji sportowych wychować młodego Polaka lub Polkę na ludzi mocnych duchem i zdrowych ciałem, świadomych i posłusznych tym nakazom ideowym i moralnym, jakie obowiązują zrzeszoną w ogóle młodzież polską w Łotwie.

Nie chcemy sportu tylko dla zabawy, lecz pragniemy poprzez sport kontynuować poważną pracę wychowawczą, rozpoczętą przed kilkoma laty na odcinku naszego młodego pokolenia.

W zakończeniu tego artykułu winniśmy kilka słów inicjatorowi i organizatorowi naszej polskiej tutaj Olimpiady — świąt sportu polskiego w Łotwie — Związkowi Polskiej Młodzieży. Nie będzie zdawkową grzecznością, jeśli stwierdzimy, że, mimo różnorodnych, różnorodnych i naturalnych w naszych warunkach trudności, idea świąt sportu naszego w Łotwie mocno się w naszym młodym pokoleniu zakorzeniła i rolę swą — czynnika intensywnej propagandy — wypełnia doskonale. W ośrodkach, w których doniedawna nie słyszano wcale o lekkiej atletyce, trenują obecnie mniej lub więcej regularnie sportowcy, werbując się z młodzieży różnych poziomów i różnych warstw.

IV-te Święto Sportu odbędzie się w sobotę i niedzielę. Po raz pierwszy — po Daugawpilsie, Rydze i Rezekne — w Liepai. Weźmie w nim udział — obok zespołów sportowych ZPM — Reduta z Rygi i sekcja sportowa „Harfy” z Daugawpilsu. Jest to drugi ogromny plus naszych świąt sportu: jednoczą one wszystkich

sportowców, zrzeszonych w sportowych organizacjach polskich.

Czy potrzebujemy wskazywać na inne pozytywne i ze wszęch miar cenne dla nas wszystkich wyniki tego rodzaju imprezy, jaką jest święto naszego sportu?

Lub apelować do Czytelników, szerszego społeczeństwa i młodzieży o liczny, manifestacyjny udział w charakterze widzów, współuczestników lub wreszcie bezpośrednich uczestników w tym święcie?

Sądźmy, że nie. Nieomyślny nakaz sumienia narodowego w takich wypadkach podpowiadać winien każdemu co ma czynić.

Ze swej strony życzymy jedynie, aby Święto Sportu Polskiego w Liepai było krokiem naprzód w naszym trudzie zakładania podwalin pod najszlachetniejszą z dyscyplin, uprawianych przez człowieka, pod sport, będący szlachetnym współzawodnictwem, którego celem jest umocnienie ducha i zdyscyplinowanie ciała.

M. Miż-Miszyn

W ŁOTWIE

najlepszych jeźdźców. Ekipa niemiecka na zawodach reprezentowana nie będzie.

— Spotkanie wiedeńskiego zespołu piłki nożnej „Rapid” z reprezentacją państwową Łotwy, skompletowaną przeważnie z młodych graczy, zakończyło się 17. b. m. porażką gospodarzy w stosunku 0:6.

— Kolejne tegoroczne mistrzostwa lekkoatletyczne Aizsargów odbędą się 22. i 23. b. m. w Rydze. W mistrzostwach weźmie udział 356 sportowców w czym 61 kobiet

...szkolna

— Uwaga! Ważne dla przyszłych nauczycieli. Referent do polskich spraw oświatowych przy Ministerstwie Oświaty, p. R. Ciesiulewicz powiadamia, że egzaminy wstępne w Instytucie Nauczycielskim w Rydze w klasie dla mniejszości (Pilsoniu 13) rozpoczynają się 6-go września. Do przedostatniej klasy Instytutu mogą być przyjęte osoby, które skończyły gimnazjum (również z maturą II stopnia). Absolwenci Instytutu uzyskują prawo nauczania wszystkich przedmiotów w szkołach podstawowych, jak również języka łotewskiego oraz prawa wstąpienia na Uniwersytet. Dla uczniów z prowincji przy Instytucie istnieje bursa.

...bieżąca

— Odpust w Aglonie. Tegoroczne Święto Wniebowzięcia Matki Bożej zgromadziło w murach Agłony olbrzymie rzesze ludności. W sobotę przez cały dzień na wszystkich drogach można było obserwować jazdę wszelkimi środkami lokomocji oraz piesze pielgrzymki. Nieszpory wieczorem o godz. 7.30 celebrował J. E. Ks. Biskup B. Słoskan w otoczeniu duchowieństwa (z procesją naokoło rynku przy zapalonych świecach). Na tle wieczornego mroku procesja robiła niezapomniane wrażenie, a ołtarz Matki Bożej, odnowiony i poślony, połyskiwał w świetle potęgi i chwały. Całą noc modliły się tłumy w świątyni, a księża słuchali spowiedzi. Żniwo było wielkie, bo w te święto do Stołu Pańskiego przystąpiło prawie 50.000 ludzi. W niedzielę nabożeństwo się rozpoczęło prymarią o godz. 6. rano. Kazanie polskie o godz. 10-tej wygłosił ks. Józef Krumpán, poświęcając je Matce Najświętszej. Wniosły temat i rzewna wymowa kaznodziei wywołały wielkie wzruszenie. O godz. 11-tej w uroczystej procesji odprowadzono J. E. ks. Arcybiskupa A. Springowicza przed ołtarz obok kościoła, gdzie celebrował sumę. Chór Agłony z dętą orkiestrą wykonał Mszę Św. na cześć św. Augustyna. Po kazaniu łotewskim wygłoszonym w czasie sumy przez ks. prof. P. Stroda, Jego Ekscelencja udzielił odpustu zebrany, a po sumie Sakramentu Bierzowania. Nieszpory w kościele celebrował J. E. Ks. Biskup B. Słoskan z procesją naokoło rynku. Zakończyło tę wzniosłą uroczystość błogosławieństwo Przenajświętszym Sakramentem od ołtarza. Do stóp Maryi pochylili się serca i dusze znękanie, pocieszone Jej łaskawym spojrzeniem z wyżyn tronu białej Agłony. Zjazd tego roku był bardzo wielki.

— Jak donosi Departament Poczto-Telegraficzny, dnia 1. lipca b. r. weszła w życie łotewsko-fińska konwencja pocztowa, na mocy której listy, wysyłane do Finlandii a nie przekraczające 500 gr. wagi, są opłacane według taryfy miejscowej. Tak samo według taryfy miejscowej opłacane są karty pocztowe zwyczajne, z opłaconą odpowiedzią i innego rodzaju przesyłki nie przekraczające 50 gr. wagi. Dopłata do listów wysyłanych z adnotacją „express” wynosi również, jak w Łotwie, Ls 0.60.

— Specjalny zegar automatyczny, mający podawać przez telefon prawidłowy czas, ustawiony zostanie do użytku publicznego w urzędzie pocztowo-telegraficznym w stolicy 20. października b. r.

— W katastrofie samochodowej, jaka się wydarzyła 18. b. m. na szosie Ryga—Tylża, został ranny śmiertelnie prof. A. Bunmanis, prezes ryckiego Sądu Okręgowego.

Państwowe polskie gimnazjum w Rezekne

WARUNKI PRZYJĘCIA:

Uczniowie, którzy chcą wstąpić do Państwowego Polskiego Gimnazjum w Rezekne, mają złożyć dyrektorowi:

- 1) podanie rodziców lub opiekunów wraz z deklaracją o narodowości,
- 2) świadectwo o ukończeniu szkoły podstawowej,
- 3) metrykę urodzenia,
- 4) świadectwo o stanie zdrowia (veselības lapa),
- 5) Ls 4.— wstępnych.

Uczniów, którzy ukończyli szkołę podstawową z prawem wstąpienia do szkół średnich, przyjmuje się do V-ej klasy gimnazjum na mocy egzaminów: z jęz. łotewskiego. i rachunków (pisemne i ustne) oraz z jęz. polskiego (ustny).

Egzamina z jęz. łotewskiego i polskiego oraz rachunków — odpowiadają kursowi szkoły podstawowej.

Egzamina wstępne do Państwowego Polskiego Gimnazjum w Rezekne odbędą się w dn. 6 i 7 września.

Początek zajęć 9 września.

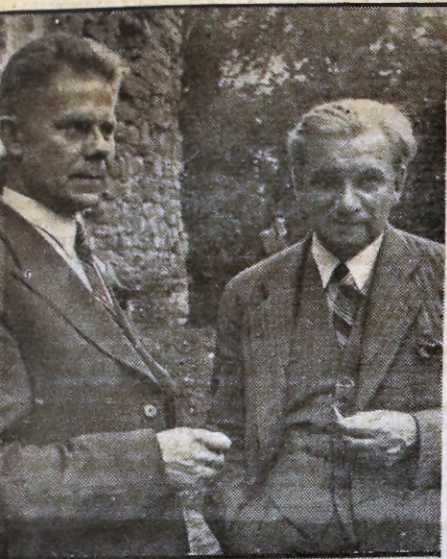
Przy Gimnazjum istnieje internat dla chłopców i dziewcząt.

Podania mogą być składane osobiście lub przesyłane pocztą adresem: Rēzekne, Rēzeknes valsts poļu ģimnāzija, Pulkv. Kalpaka ielā 25.

Odpowiedzi grafologa

ODPOWIEDZI GRAFOLOGA. „Ewunia”, trochę z usposobienia i natury despotka, nie może się pochwalić wielkim hartem siły i woli. Ma mało energii ale, w przeciwieństwie do tego, moc upor. Dużo cierpi. Dlaczego? Właśnie przez swoje wady. Gdyby była naprawdę pokorna i cicha, nie taka skąpa i maloduszna—porwała by ludzkie serca. Gdyby zapomniała o sobie, troszcząc się o dobro bliźnich, uwagę zwróciła na to, że inni mają bardziej ciężkie krzyże, uznała by siebie za szczęśliwszą. Łatwo się kocha. Cóż z tego? Dozna tu tylko samych cierni i zawodów. Miłość być musi wylaniem bohaterkich wysiłków duszy, miłość być musi słońcem życia, dźwignią potężną ducha. Miłość być musi wskrzeszeniem do życia najtajniejszych stron ducha, dźwięczących bolesną nutą.

Oprawione komplety „Naszego Życia” i „Krasnoludków” za rok 1935 i 1936 w cenie po Ls 4,50 i Ls 1.- można nabyć w administracji „Naszego Życia”



...gospodarcza

— Ilość zakładów przemysłowych w Łotwie wzrosła w r. 1936. o 243, osiągając cyfrę 5.565. Z ilości tej 4.398 zakładów należało do osób pojedynczych, reszta — do towarzystw akcyjnych, państwa i samorządów. Ilość zatrudnionych w tych zakładach robotników wynosiła w ub. r. 100.682 osoby, czyli — w porównaniu z r. 1935 — wzrosła o 7000 (7 proc.) osób. Z ogólnej ilości zatrudnionych 60 proc. stanowili mężczyźni. W przemyśle włókienniczym zatrudnionych było 11,387 kobiet i tylko 3.402 mężczyzn. Ogólna suma wypłaconych zarobków robotniczych wzrosła w tym czasokresie o 9 mil. Ls (10 proc.), osiągając kwotę 102,7 mil. Ls.

— Koleje łotewskie zanotowały w ub. m. po stronie wpływów kwotę Ls 4.476.300, czyli o Ls 2.925.200 większą niż w tym samym czasie roku ub. Dochód kolei w porównaniu z lipcem r. ub. wzrósł o Ls 1.551.100 (czyli o 53 proc.).

...sportowa

— Po sukcesach lotniczych we Francji i w Szwajcarii samolot WEF-u prowadzony przez pilota Bandenicka odleciał do Londynu, gdzie weźmie udział w tamtejszych zawodach lotniczych.

— Na akademicką olimpiadę sportową, która ma się odbyć w terminie od 21. sierpnia do 1. września b. r. w Paryżu, wyjechała akademicka reprezentacja Łotwy w składzie 54 studentów.

— W międzynarodowych zawodach hippicznych, rozpoczynających się w Rydze 21. b. m. weźmie udział ekipa polska (6 osób), szwedzka (5 osób) oraz francuska. Łotewska ekipa skompletowana została z

Z Polski i o Polsce

Polska wyprawa wysokogórska w Alpy

NA SZEROKI



Wśród lodowców i skal alpejskich

Poniższy artykuł wyszedł spod pióra uczestnika tegorocznej wyprawy polskiej w Alpy, toteż posiada wszystkie cechy bezpośredniości, której wartość podnoszą jeszcze oryginalne zdjęcia, które podajemy niżej. Redakcja

(Korespondencja własna)

Od szeregu lat, corocznie prawie, polscy alpinisci biorą udział w wyprawach w góry pozapolskie, a nawet pozaeuropejskie. Wyprawy te, organizowane przez Klub Wysokogórski Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, mają na celu bądź to zapoznanie się z trudnościami gór lodowcowych, wyższych niż nasze własne, a przez to przygotowanie do egzotycznych wypraw odkrywczych, bądź też zwiedzenie obszarów górskich dotychczas albo wcale, albo w niewielkiej mierze poznanych. Do tych ostatnich należały dwie wyprawy w góry Ameryki Południowej — Andy oraz wyprawa w Góry Wysokiego Atlasu w Afryce Północnej i dwie wyprawy zwrócone ku lodom północy — na Szpicbergen. Wyprawa w góry Kaukazu i trzykrotna już do roku bieżącego bytność polskich zespołów alpinistycznych w Alpach, miały na celu przede wszystkim przeprowadzenie treningu na terenie gór lodowcowych.

W roku bieżącym projektowano ponowną wyprawę na Kaukaz, następnie zaś, po niedoścignięciu powyższej do skutku, wysłanie ekspedycji w góry Afganistanu — Hindukusz.

I ta jednak wyprawa nie mogła być zrealizowaną. Wobec tego postanowiono, nie chcąc przerywać ciągłości treningu, poprzestać na wysłaniu zespołu alpinistycznego po raz czwarty w Alpy, kierując wyprawę do Włoch, w najwyższe grupy alpejskie Mont Blanc (4810 m), Matterhorn (4505 m) i Monte Rosa (4638 m).

Nieprzerwanie treningu dyktowane jest przede wszystkim względem na przewidywaną w niedługim już czasie odkrywczą wyprawę w najwyższe góry świata — Himalaje.

W drugiej połowie lipca bieżącego roku grupa polskich alpinistów, złożona z 9-ciu osób (w tym



Miejscowość alpejska Courmayeur z widokiem na Mont Blanc.

dwie kobiety) opuściła granice Polski. Jako pierwszy punkt wypadowy obrano niewielką miejscowość uzdrowską Courmayeur, położoną prawie bezpośrednio u stóp najwyższego szczytu Europy — Mont Blanc.

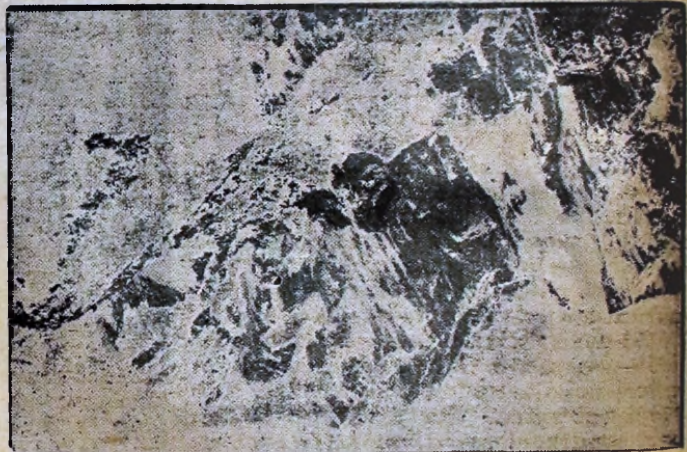
Stąd rozpoczęto akcję wysokogórską. Całość zespołu, podzielona na parę grup, które zresztą nie w jednym czasie przybyły do Courmayeur, podążała ku górom.

W pierwszym okrasie wstępnym szczęście nie zu-

pełnie dopisywało polskim alpinistom: nieprzychylny warunki atmosferyczne paraliżowały zamierzone plany. Jednej też tylko z grup udało się w kilkuniedniowej wyprawie wejść na Mont Blanc. Warunki wejścia były wysoce niekorzystne. W czasie wędrówki długą granią, częściowo skalną, częściowo lodowo-śnieżną, wśród niemałych trudności terenowych, panowała gwałtowna wichura, która w wysokim stopniu uniemożliwiała posuwanie się ku górze. Dlatego też tempo marszu było niezwykle wolne. W pierwszym dniu od opuszczenia położonego na przełęcz de Miage schroniska, osiągnięto jedynie pośredni szczyt Dome du Goûter (4309 m) na zboczach którego, wśród śniegów rozbito w wicherze biwało. Nazajutrz mimo nie poprawiających się warunków atmosferycznych, podążono dalej, osiągając maleńkie schronienie wybudowane ok. 500 m poniżej wierzchołka Mont Blanc. Tu grupa polskich alpinistów zmuszona była w niezwykle prymitywnych warunkach przebywać z górą dwa dni, czekając na chwilę wyjaśnienia, pozwalającą na ostateczne osiągnięcie wierzchołka. Udało się to pod koniec dnia drugiego.

W międzyczasie inne grupy uczestników próbowały dokonać wejścia na Mont Blanc z innych stron. Nieodpowiednie jednakowoż warunki zmusiły ich do odwrotu. Zejście w dolinę, do Courmayeur wszystkich uczestników zakończyło ten pierwszy, wstępny okres wyprawy.

Zbigniew Korosadowicz



Najwyższy szczyt Europy — Mont Blanc (4810 m.)

Organ Watykanu o cudzie nad Wisłą

„DZIŚ JESZCZE ODCZUWA EUROPA DOBRODZIEJSTWA BITWY WARSZAWSKIEJ”. Citta del Vaticano. Z okazji rocznicy bitwy warszawskiej „Osservatore Romano” zamieszcza na pierwszej stronie obszerną korespondencję z Warszawy, poświęconą pobytowi obecnego papieża Piusa XI w Polsce.

„Rok 1920, — pisze „Osservatore Romano”, — był nie tylko decydującym dla losów Polski, ale również dla dalszego rozwoju cywilizacji zachodniej. Bolszewicy zbliżali się do Warszawy i wielka bitwa, mająca rozstrzygnąć o wolności Polski oraz o wielkich wartościach kultury chrześcijańskiej, miała rozpocząć się z dnia na dzień.”

Autor przypomina, że ówczesny dziekan korpusu dyplomatycznego nuncjusz Achilles Ratti postanowił pozostać w Warszawie mimo, że korpus dyplomatyczny wyjechał do Poznania. Nuncjusz uważał bowiem za swój obowiązek pozostać do ostatniej chwili wraz z ludnością, wśród której reprezentował Stolicę Apostolską. Pobyt jego w Warszawie podniósł na duchu mieszkańców polskiej stolicy.

„Zwycięstwo Józefa Piłsudskiego, — kontynuuje „Osservatore Romano”, — zatrzymało pod murami Warszawy napór hord bolszewickich, zagrażających wszystkim państwom Europy zachodniej. Było to sławne zwycięstwo Wiary, ideałów oraz cywilizacji katolickiej i rzymskiej. Od dnia tego zwycięstwa upłynęło już wiele lat, ale dobrodziejstwa tego zwycięstwa dają się odczuwać jeszcze dziś w współczesnej skłóconej i znikanej Europie”.

ZWIĄZEK STRZELECKI w Polsce, jak wynika ze sprawozdania ogłoszonego ostatnio i okazji walnego zjazdu delegatów Związku, liczy 453,279 członków, podzielonych na 4,385 oddziałów. Ponadto we Francji i w Belgii Związek Strzelecki liczy 194 oddziały (5,438 członków). M. in. w kraju Zw. Strzelecki posiada 76 oddziałów konna, 24 wodne, 274 klubów sportowych i 906 kół przyjaźni Zw. Strzeleckiego. Łoś strzelczyń, zrzeszonych w Związku wynosi 43,410.

POLSKA GŁÓWNYM PUNKTEM OPARCIA POKOJU. Sztokholm. W artykule wstępnym, zatytułowanym „Polska w Europie”, dziennik konserwatywny „Nye Dagligt Allekanda” pisze m. in. „Z punktu widzenia strategicznego dobrze uzbrojone państwo polskie stanowi główny punkt oparcia pokoju w strefie środkowo - europejskiej. Polityka graniczna, prowadzona przez rząd polski, winna mieć stale wzrastające znaczenie dla dobra równowagi europejskiej. Należy powitać z zadowoleniem wszelkie próby przeciwstawienia się tworzeniu wrogich sobie bloków wielkich mocarstw, któreby ogarniały wszystkie państwa europejskie. Istnienie stref, utrudniających politykę nacisku, jest bardziej niż kiedykolwiek pożądane. Wysiłki Polski, zmierzające do stworzenia w niebezpiecznej strefie Europy wschodniej ośrodka niezależnej polityki mocarstwowej o charakterze ogólnie - europejskim, niezależnej od bloków wielkich mocarstw, są w całkowitej zgodzie z głównymi wytycznymi europejskiej polityki pokojowej, którą coraz bardziej popiera świadoma swych celów opinia państw północnych.”

M ŚWIECIE

Wiadomości bieżące

ZAOSTRZENIE WALKI Z RELIGIĄ W SOWIETACH. Moskwa. W dzienniku „Komsomolskaja Prawda” pojawił się artykuł, zapowiadający znaczne zaostrzenie walki z religią w ZSRR. Walka ta nabiera coraz większego znaczenia w związku z nadchodzącymi wyborami do najwyższej rady ZSRR. Komsomolowi postawiono zadanie, by żaden duchowny nie został obrany do Rady. Artykuł zapowiada „decydującą, nieubłaganą walkę z duchowieństwem”, określając ją, jako jeden z głównych momentów walki klasowej. Dziennik podkreśla, że „żadnej wolności propagandy religijnej konstytucja nie gwarantuje”, że duchowieństwo jest „agenturą likwidowanej w ZSRR klasy wyzyskującej” i krzewi „wrogą dla Sowietów ideologię”. Artykuł konstatuje również, że walka z duchowieństwem będzie nie „abstrakcyjna, lecz zupełnie konkretna”. Cały artykuł ma charakter programowy i zostanie prawdopodobnie zastosowany w życiu w najkrótszym czasie.

RZĄD RZESZY PROTESTUJE PRZECIWKO MASOWYM ARRESTOWANIOM NIEMCÓW W ZS.R.R. Berlin. — Z polecenia rządu Rzeszy ambasador niemiecki w Moskwie złożył na ręce rządu sowieckiego ostry protest przeciwko aresztowaniom szeregu obywateli Rzeszy na terenie Sowietów. Prasa niemiecka donosi z niezwykłym oburzeniem o zakrojonych w ciągu ostatnich tygodni na szeroką skalę fali aresztowań obcych obywateli w Sowietach. Liczba aresztowanych obywateli niemieckich obliczana jest na 214 osób. Wśród aresztowanych znajdują się m. in. również 140 Węgrów.

KONFERENCJA MIĘDZYNARODOWA BEZBOŻNIKÓW ODBĘDZIE SIĘ W BRUKSELI? Z Brukseli: Komitet wykonawczy zorganizowanej przez Moskwę międzynarodówki bezbożników postanowił odbyć najbliższą konferencję międzynarodową bezbożników w Belgii.

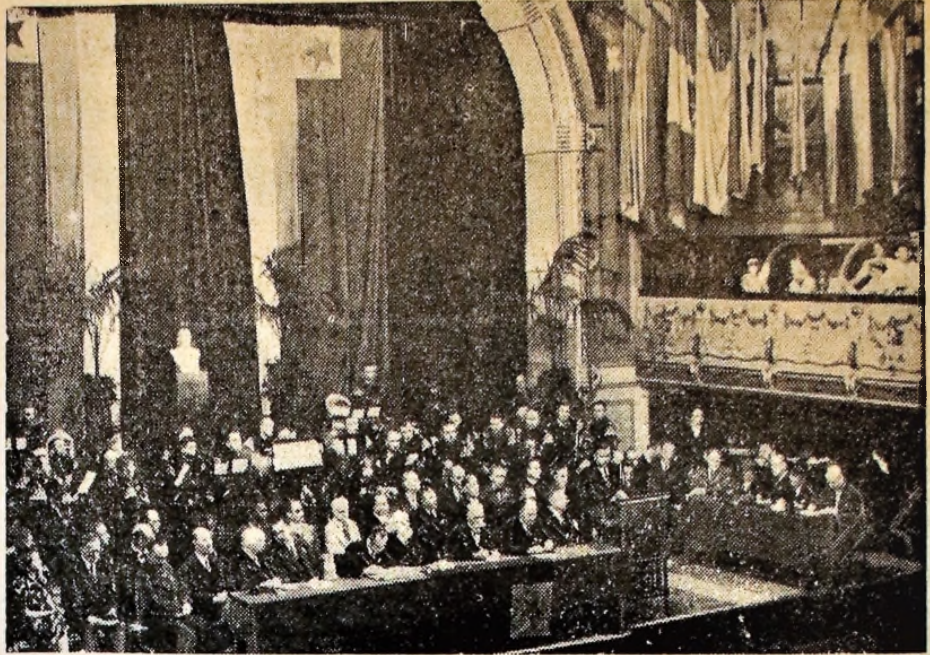
Generalna rada bezbożników oddała na ten cel do dyspozycji 100.000 rubli. Rosja sowiecka zamierza wysłać na kongres 30 delegatów.

W Brukseli ma być również wyświetlony bezbożniczy film propagandowy, montowany obecnie w Moskwie.

Na kongresie zostanie postawiony wniosek, by światowy kongres bezbożników w przyszłym roku zwołać do Moskwy. W kongresie tym mają wziąć udział także organizacje bezbożnicze młodzieży.

„Libre Belgique” zapytuje w związku z tym premiera van Zeelanda, czy jego zdaniem jest pożądanym, aby propagandę sowieckich nihilistów organizowano w Brukseli.

Międzynarodowy Kongres Esperantystów w Warszawie. Uroczyste otwarcie Kongresu



Od końca świata do... czworaczek

KONIEC ŚWIATA... Paryż. „Liberté” zamieszcza sensacyjną wiadomość, że koniec świata miał nastąpić w dniu 15 sierpnia bież. roku.

Dziennik podaje, że wiadomość ta pochodzi od pewnego astrologa, który zamieszkuje w okolicach Paryża i od wielu lat studiuje astrologię oraz nauki ścisłe. Ustalił on, że ogon komety Finslera, która znajduje się w odległości zaledwie 80 milionów kilometrów od ziemi, zderzy się tego dnia z kulą ziemską. Dziennik dodaje, że wielu astrologów i wróżek na podstawie przeprowadzonych obliczeń zgadzało się z powyższą przepowiednią, uważając, że kataklizm jest nie unikniony.

2.000.000 WORKÓW KAWY PRZEZNACZONYCH DO SPALENIA. Z Rio de Janeiro: „Państwo kawowe”, jak się w Brazylii nazywa stan Sao Paulo, nie przeżywało jeszcze dotąd tak intensywnego palenia kawy, jakie się odbywa w tym roku.

W trzech miejscowościach: Osasco, Sao Caetano i Agua Branca, gdzie przyrządzono specjalne place dla spalania kawy, ludność wniosła prośby do rządu o ratunek przed... gazami, jakie spalona kawa wydziela, a które to gazy są bardzo szkodliwe dla zdrowia ludzkiego. Specjalna komisja rządowa, stanowa i państw. urzędu kawowego badała na miejscu sprawę i wydała szereg potrzebnych zarządzeń. We wszystkich trzech miejscowościach spala się dziennie od 15 tys. do 20 tys. worków kawy, czyli do 60 tysięcy kg dziennie. Do spalania pozostaje jeszcze nie mniej niż dwa miliony worków kawy.

Ustalono też na tych zawodach nowy rekord Polski w sztafecie pań (Walasiewiczówna, Gawrońska, Falska i Staruszkiewiczówna) na 4 × 100, osiągając czas 51 sek.

JĘDRZEJOWSKA pokonała w finale międzynarodowego turnieju tenisowego o mistrzostwo Wschodu (USA) mistrzynię Ameryki Marble (7:5, 6:4), zajmując pierwsze miejsce. W taki sposób nasza tenisistka zrewanżowała się Amerykance za niedawną porażkę w Nowym Jorku.

W MIĘDZYNARODOWYM TURNIEJU TENISOWYM o puchar wędrowny Klubu Riteka w Dzin-tari polski tenisista Witman pokonał w finale Austriaka-Eitenmana, zajmując w ten sposób w tym turnieju pierwsze miejsce.

NA MISTRZOSTWACH ŁUCZNICZYCH świata, odbytych ostatnio w Paryżu, Polacy odnieśli wielki sukces, zdobywając mistrzostwo świata zarówno indywidualnie jak i zespołowo. W mistrzostwach pań Polki musiały ustąpić Angielkom i zadowolić się drugim miejscem.

NOWY REKORD POLSKI w rzucie młotem ustanowiony został ostatnio przez Węglarczyka z Chorzowa wynikiem 44,52 m

KS. WINDSORU RATUJE... Wenecja. Książę Windsoru bawi obecnie wraz z małżonką w Wenecji.

Oczywiście każdorazowe zjawienie się księcia Windsoru na plaży na Lido wzbudza zrozumiałą ciekawość. I oto gdy łódź, wioząca parę książęcą dobiła do mola, jakaś młoda Amerykanka, pragnąc za wszelką cenę zobaczyć książęcą parę, tak blisko podeszła do brzegu, że straciła równowagę, a torebka jej wpadła do wody.

Książę Windsoru, widząc zmartwienie malującego się na ładnej twarzyczce, uśmiechnął się i bez namysłu wskoczył do kanału.

Zebrała licznie publiczność z zapartym oddechem śledziła księcia, znakomitego pływaka, który kilkoma rzutami dopłynął do torebki i niebawem wręczył ją zawstydzonej i uszczęśliwionej Amerykance, która stała się sensacją dnia.

JEZIORO WYLECIAŁO W POWIETRZE. Mieszkańcy Nowej Szkocji byli niedawno świadkami niezwyklego zjawiska. Jak podały depesze z Halifax, pewnego dnia w jednym z jezior cała ilość zawartej w nim wody dosłownie wyleciała w powietrze. Okoliczni mieszkańcy usłyszeli dziwny szum i huk i ujrzeli słup wody, wyrzucony z olbrzymią siłą na 100 metrów w górę. Woda była tak gorąca, że nie tylko zwarzyła roślinność nadbrzeża, ale poparzyła dotkliwie dwóch chłopców, którzy w chwili dziwnej katastrofy przechadzali się nad brzegiem jeziora. Równocześnie z masą wrzącej wody wzbily się w górę dziwne jasne obłoki pary. Niespotykane dotychczas zjawisko „eksplozji” jeziora zainteresowało uczonych, którzy przypuszczają, że katastrofa spowodowana została albo przez wulkan podwodny, który nagle się ożywił, albo też przez meteor. Nad jezioro udała się specjalna komisja geologiczna dla przeprowadzenia badania i ustalenia przyczyn katastrofy.

JELEŃ ZAATAKOWAŁ LUDZI. Bydgoszcz. Na ścierniskach należących do maj. Uśc grupa ludzi zbierała kłosa. W pewnym momencie z pobliskiego lasu wybiegł jeleń, który zaatakował 8-letniego Jana Sawickiego, zadając mu szereg ran ostrymi rogami.

Na pomoc pośpieszyły chłopcu obecne na ściernisku kobiety, ale rozżarty jeleń zaatakował je z kolei, nie dając się odpędzić.

Dopiero zwabiony krzykami gajowy wystrzałami spłoszył rogatego napastnika.

CZWORACZKI — SENSACJĄ WIELKIEJ BRYTANII. Londyn. Małe miasteczko Thetford, gdzie mrs. Lingwood powiła czterech synów, stało się ośrodkiem zainteresowania całej Anglii. Matka i dzieci czują się doskonale, podczas gdy ojciec, znany przemysłowiec, właściciel zakładu kuśnierskiego w sąsiednim miasteczku Brandon, będący chlubą... miejscowego klubu rugby, otrzymuje setki telegramów gratulacyjnych, nadchodzących z całego imperium brytyjskiego i przyjmuje dziennikarzy, którzy w obecnym okresie ogórkowym, zwanym „billy season”, tłumnie przybyli do niego, składając mu życzenia z okazji radosnego zdarzenia.

Thetford stał się celem wycieczek weekendowych niezliczonej liczby automobilistów, którzy skierowali się do tej zapadłej miściny hrabstwa Suffolk.

Na froncie sportowym

MISTRZOSTWO ŚWIATA na olimpiadzie szachowej w Sztokholmie zdobyła reprezentacja USA (54, 1/2 pkt.). Drugie miejsce zajęła drużyna Węgier (48, 1/2), trzecim i czwartym podzieliły się Polska i Argentyna (po 47 pkt.). W dalszym ciągu następnymi (niższymi) miejscami zajęły: Czechosłowacja, Holandia, Estonia, Litwa, Jugosławia, Szwecja, Lotwa (37, 1/2 pkt.), Anglia i Finlandia (po 34), Włochy, Dania, Islandia, Belgia, Norwegia i Szwecja (14 pkt.). Następną olimpiadą szachową rozegrana zostanie w r. 1939 w Buenos Aires.

SPOTKANIE MIĘDZYPANSTWOWE NIEMIEC Z FRANCJĄ w lekkiej atletyce zakończyło się wysoką przegraną Francuzów (w stosunku 48:103). Niemcy wygrali wszystkie konkurencje z wyjątkiem skoku o tyczce, w którym zwyciężył Francuz (Vintonsky), mając zresztą tę samą wysokość (3,90 m.), co obaj Niemcy.

SPOTKANIE LEKKOATLETYCZNE Anglia - Niemcy zakończyło się niespodziewanie porażką tych ostatnich w stosunku 69:67.

NA WIELKICH ZAWODACH lekkoatletycznych w Bydgoszczy Walasiewiczówna pobiła (13 b. m.) rekord świata w biegu na 50 m. (6,3 sek.).

Ewangelia na czternastą niedzielę po Zielonych Świątkach

ZAPISANA U ŚW. MATEUSZA W ROZDZ. 6, W. 24—33

Wówczas: Mówił Jezus uczniom swoim: Nikt nie może dwom panom służyć, bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował, albo z jednym trzymać będzie, a drugim wzgardzi. Nie możecie Bogu służyć i mamonie. Dlatego powiadam wam: Nie troskajcie się o duszę waszą, co będziecie jedli, ani o ciało wasze, czym się okryjecie. Nie jest że dusza czym większym, niż pokarm, a ciało, niżli odzież? Przypatrzcie się ptakom w powietrzu: wszakżeż one nie sieją ani żną, ani nie zbierają do śpichlerzy, a Ojciec wasz niebieski żywi je! Czyż wy nie warcieście wiele więcej, niż one? Któż z was, choćby najusilniej przemysliwał, zdoła do wzrostu swego dodać lokcieć jeden? A czemuż troszczycie się o odzienie? Popatrzcie na lilie polne, jak to one rosną! Nie pracują, ani przędą. A powiadam wam, że i Salomon w całym przepychu swym nieodziewał się, jako jedna z nich. Jeśli więc trawę polną, która dziś jest, a jutro idzie na spalenie, Bóg tak przystraja — o ileż więcej was, malej wiary! A przeto nie kłopotcie się, mówiąc: Co będziemy jedli, albo co będziemy pili, lub czym się przyodziewemy? O to wszystko ubiegają się właśnie poganie, wszak Ojciec wasz niebieski wie, iż tego wszystkiego wam potrzeba. Szukajcie przeto na pierwszym miejscu królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydane.

NAUKA

I.

Więc czego się trzymać?

Najukochańsi nasi rodzice, najzaciejersi z naszych nauczycieli aż za często nam powtarzali: Uczcie się pilnie! Pracujcie, pracujcie i jeszcze raz: pracujcie! Inaczej w życiu marnie zginiecie. Ty zaś, Boski Zbawicielu, dzisiaj mówisz nam inaczej zupełnie: Nie troszczcie się, co będziecie jedli, i nie troszczcie się, co będziecie pili, ani czym się przyodziewać będziecie. To troska pogańska! Chrześcijanin takim troskom się nie oddaje...

II.

Żyjemy w stuleciu okropnej walki konkurencyjnej. Troska o chleb codzienny, o utrzymanie i wychowanie dzieci, o mieszkanie, o odzież, o tak zwane mini-

mum egzystencji, to znaczy o tę porcję pieniędzy, która nam potrzebna, by z głodu nie umrzeć lub z niedostatku nie zdziżyć, czyż dzisiaj nie pochłania i trwoga nie ogarnia ludzi nawet dobrych, zacnych, szlachejnych? Czyż więc lepiejby Kościół nie postąpił, gdyby czytania ewangelii dzisiejszej zaniechał lub na lepsze odłożył czasy?

III.

A jednak w dobrych i złych latach, każdej 14. niedzieli po świątkach, każe Kościół św. kapłanom nie tylko czytać ewangelię, lecz jeszcze do życia wedle tej ewangelii ludzi zachęcać.

Dwóch panów — Bóg i szatan — ustawicznie o duszę naszą staczają walkę. Tu na ziemi rozgrywa się ta walka na tle przykrości i przyjemności tego życia. Kto

się pozwoli pochłoniąć troskom doczesnym w zupełności, całkowicie, wyłącznie, ten staje się własnością wyłączną tych trosk, a przestaje być własnością Bożą. Taki zużywa swe życie na służbie dla tych trosk doczesnych, a przestaje mieć czas i ochotę na służbę dla Boga. Dwom panom służyć bowiem nie można.

Znamy takich ludzi. Nieraz właśnie dla takiego nastawienia życiowego daleko i wysoko tu na ziemi doprowadzają. Ow rzemieślnik pilny jak mrówka! Żał mu już niedzieli na nabożeństwo i na odpoczynek. Ow sportowiec! W kościele za duszne powietrze, a na boisku dziś właśnie w czasie sumy ważny rozgrywa się mecz. Ow agitator polityczny! Teraz trzy miesiące w kościele go nie zobaczycie! Wiadomo — wybory rozpisano. Trzeba na wiecie wyzyskać każdą niedzielę. Ow młodziwiec! — Całe lato nie był na mszy św. Na cmentarzu w tym czasie tak miło się gwarzy z towarzyszami! Ow biuralista, ow inteligent wielkomiejski, co to w niedzielę dopiero o 2 po południu z mieszkania wychodzi! To tylko kilku z tych, którym troska o przykrości i przyjemności życia wyparła z duszy chęć służenia Bogu.

IV.

Mamy pracować! Pilnie. W pocie czoła. Bóg sam nałożył nam obowiązek pracy. Mamy pracować na siebie, na rodziców (IV przykazanie), na dzieci! Nie mamy jednakże dopuścić nigdy do tego, by troska o chleb, o pracę, o dobrobyt, o owe przykrości i przyjemności życia zawładnęła nami do tego stopnia, żebyśmy się stali niewolnikami życia na ziemi, a przestali być sługami bożymi.

François Mauriac

Życie Jezusa

Tekst bardziej wzruszający, aniżeli jakiegokolwiek z bezpośrednich wypowiedzeń Chrystusa. Miejsce zamieszkania? Pustynia zaludniona kamieniami, które Szatan nakłania zamienić w chleby. I oto spełnia się w tym pierwszym spotkaniu, o świcie Betanii, tajemnica miłości nie człowieczej — miłości niewymownej. Już się szerzy ogień rozniecony, przerzuca się z drzewa na drzewo, z duszy w duszę: Andrzej zawiadamia swego brata, że znalazł Chrystusa i przywodzi na pustynię Szymona, którego odtąd Jezus zwać będzie Kefasem. Nazajutrz pożar się wzmagą, dosięga Filipa z Betsaidy, rybaka z nad jeziora Tyberiadzkiego, jak Andrzej i Piotr. Słowo i gest, które przywiązują go do Chrystusa, są nam nieznane. Ale płomień przerzuca się od Filipa do Natanaela. To nowe drzewo nie zajmuje się od razu, bo Natanael jest biegły w Piśmie i twierdzi, że nie może wyjść dobrego z Nazaretu. Przyjaciół odpowie mu prosto: „Pójdź i oglądaj.”

Czy wystarczało duszy wybranej zobaczyć Chrystusa, żeby go poznać? Nie, Jezus dawał jej znak, a znak, który dał Natanaelowi, to ten sam, który przekona niebawem kobietę z Samarii: „Skądże mnie

znasz?” zapytał Natanael tonem niedowierzania. „Zanim cię Filip wezwał, gdyś był pod drzewem figowym, widziałem cię.” Natanael odparł natychmiast: „Tyś jest Syn Boży.”

Nie to jest ważne, iż najtajniejsza sprawa, spełniona pod drzewem figowym, nie została ujawniona. Natanael odkrywał, że wewnątrz jego istoty wydane jest temu człowiekowi, czuje się przed nim odsłoniiony, jak najostatniejszy z nas dziś jeszcze, kiedy schylony ku ziemi wyznaje swe błędy albo wznosi twarz ku hostii. Przed tym znakiem padali na twarz ludzie prości, ludzie szczerzego serca, kogóż to Chrystus w ciągu swego śmiertelnego życia nie obdarzył tym znakiem? Będzie bowiem odpowiadał na myśli najbardziej skryte uczonych i faryzeuszów, ale oni, zamiast uderzyć się w piersi, będą w tym widziale jedynie podstęp Belzebuba.

Może spotkanie z Natanaelem odbyło się już po opuszczeniu pustyni, gdzie w ciągu dni czterdziestu Jezus pościł i znosił natarcia Księcia nieczystego. Idąc w górę Jordanu, przez Archelais i Scytopolis, doszedł do jeziora Tyberiadzkiego i tej Betsaidy, ojczyzny uczniów świeżo wydar-

tych Janowi. Godzina zupełnego wyrzeczenia jeszcze nie wybiła wtedy dla nich, sieci i łodzie będą ich jeszcze zatrzymywały czas niejaki: było to dopiero pierwsze wezwanie.

VIII KANA

Oto ów Jezus, błąd jeszcze od postu i walk z archaniołem, idąc wzdłuż Jordanu, dociera do jeziora Tyberiadzkiego z nowymi swymi przyjaciółmi. A jeden z nich był Jan, syn Zebedeusza, już bardziej od innych umiłowany, potem Andrzej, Szymon-Piotr, Natanael zwany też Bartłomejem. Każdy z nich przeżywał po raz pierwszy dramat, który Chrystus przyniósł na ziemię i który rozgrywa się odtąd wszędzie, gdzie tylko czczona jest imię Jezus: powołanie, wezwanie, walka biednych ludzi, ludzi skazanych na wspaniałą czystość, a tkwiących głęboko w życiu, skrupowanych tysiącem więzów, zwłaszcza więzów krwi, które kładą na serca kajdany. Wszelako na wybrzeżu jeziora owi ludzie doznają szczęścia samotnego przebywania z Chrystusem. Nikt nie staje pomiędzy nimi a mistrzem, który ich ku sobie pociąga, nikt nie przeciwstawia się łasce.

Jezus ich nie nagli, ustępuje ich jeszcze na krótki czas rodzinom, rzemiosłu. Sam zaś udaje się do matki, do domu w Nazarecie. Zejdą się wszyscy w Kanie Galilejskiej, dokąd są zaproszeni na godny weselne. Św. Jan zaznacza, że Chrystus udał się tam z uczniami swymi, ale ponie-

Jerzy Kossovski

Malutka rewolucja

Wspomnienia z Wielkiej
Wojny oficera polskiego
z armii austriackiej

Od rana było niespokojnie, a raczej nie! Było za spokojnie. Ludzie chodzili jakby na palcach i stawiali nogi jakby uważnie. Był jakiś nastrój dziwny: komuś się przyjrzał, komuś zajrzał w oczy, widziałeś skupienie, namysł, pytanie, uwagę, a wszystko z myślą: czy nie zaszkodzi? czy się nie zdradzę? czy nie po mnie nie poznać? Sztubacy określiliby trafnie miny kadrowych oficerów i żołnierzy z owego dnia: „jakby nigdy nie”. Tak! wszyscy mieli miny jakby nigdy nie...

Prawie wszyscy oficerowie-Polacy wiedzieli, że lada chwila ma przyjść „rozkaz”. — Skąd? — Nie wszystkich można było wtajemniczać, choć na wszystkich można było liczyć. — Kiedy? — czekajcie! Dowiedzie się na czas! I byłoby wszystko w porządku, bez wielkiego ryzyka, gdyby nie ludzka plotka. Przekreśliłi dobrzy ludzie szuczne szwabskie słowo i wyszła awantura! A było tak:

Przysłali Austriacy do miasteczka na wypoczynek tyrolski batalion szturmowy: Sturmataillon, a nasze mieszczuchy zrobili z tego: Strafbataillon! — karny batalion! — i awantura gotowa.

Batalion wyładowano z wagonów i wśród tłumów, stojących w milczeniu, szpalerem od dworca, aż po czerwony kościół jezuitów, przeprowadzono jeźrów do koszar artyleryjskich. Tyrolczycy, tegie chłopcy flegmatyczne, maszerowali

waż w czasie uczył powiedział matce: „Jeszcze nie przyszła godzina moja”, należy owe gody odnieść do chwili przybycia do Galilei, zanim jeszcze apostołowie wszystko porzucili, aby iść za Jezusem.

Pierwszy jego cud jest spełniony na wroczystości cielesnego połączenia, wśród godów tak wesołych, że wina nie starczyło i Jezus musi zamienić w wino wodę z sześciu stągwi kamiennych przeznaczonych na obrzędowe ablucje.

„Objawił chwałę swą, pisze Jan, i uwierzyli weń uczniowie Jego.” Dla nich więc dopełnił tego czynu, aby mogli odpowiedzieć pełnią ofiary na drugie wezwanie. Już postanowił przekroczyć wszystkie progi i zasiąść u wszystkich stołów: przyszedł bowiem dla grzeszników, dla tych, którym grozi potępienie.

Zgorzenie bierze początek w Kanie, a trwać będzie aż do Betanii, do ostatniego namaszczenia. Ten człowiek, co mieni się Synem Bożym, będzie obcował co dnia z celnikami, nierządnicami, rozpustnikami, — same męty. W Kanie są to weseli bibosze, którzy nie żalują sobie ani śmiechu, ani żartów. Gospodarz wesela odzywa się do pana młodego: „Każdy człowiek najpierw stawia dobre wino, a gorsze dopiero gdy sobie podpiją, ty dobre wino zachowałeś na sam koniec.” Obficie już napojony orszak weselny wysuszył niewątpliwie także sześć stągwi kamiennych. Niejeden abstynent stawał może Chrystusowi obłudne pytanie, które tak często powracać będzie w mowach fary-

sprawnie: marsz był ponury, tym więcej, że żołnierze mieli na głowach stalowe hełmy, a jesienne słońce świeciło jakoś tak dziwnie, że cienie daszków od hełmów, padające na oczy i nosy, wyglądały jak czarne maski. Ponury był to pochód i jeźrzy wyglądali tajemniczo.

Żołnierze garnizonowi patrzyli na Tyrolczyków z niechęcią, ale z pewną ciekawością. Natomiast ludność cywilna zdecydowanie wrogo. Nawet żydóweczki. Bylecki wyczuwał ten nastrój, ale powód zrozumiał dopiero po południu: właściciel jedynej cukierni, gdzie zbierała się „śmie-tanka”, wyjaśnił mu sprawę jednym słowem: Strafbataillon! — Określił w ten sposób trzech oficerów, Tyrolczyków, siedzących na środku salki.

Bylecki chciał początkowo sprostować ową fałszywą nazwę, ale machnął ręką: a niech tam! i wyszedł, by jeszcze zajrzeć do swej kompanii. Wstąpił po drodze do sklepu z tytoniem. Zanim jednak wszedł, patrzył długo na wielkiego dwugłowego orła, wiszącego pompacyjnie nad trafiką. — Już ci niedługo! — pomyślał. Pchnął drzwi i wszedł.

— Proszę pudełko egipskich — rzucił po polsku Bylecki.

— Ach, przepraszam, pan oberlejtant Polak! Przepraszam! — mówił przesadnie poprawnie pan Gold. — Służę bardzo, pudełko egipskich.

zeuszów: „Uczniowie Jana poszcza, czemu nie twój?” Ale Jezus uśmiecha się i milczy, bo nie przyszła jeszcze godzina jego.

Wszelako Natanael, tak jak mu to było zapowiedziane, był świadkiem cudu bardziej jeszcze zadziwiającego, aniżeli ten, który go oślnął w Betanii: czegoż by odtąd nie mógł dokonać Syn człowieczy? Owego dnia, w którym zapewni, że wino jest krwią jego, a chleb ciałem, ci którzy byli w Kanie uwierzą bez ociągania. Pierwszy ów cud, na pozór najmniej „duchowy” ze wszystkich, wdraża bezwiednie uczniów, wprowadza ich w tajemnicę przechodzącą wszelkie wyobrażenia.

Jezus otoczony swoimi udał się do Kafarnaum, nad brzeg jeziora, gdzie Szymon, Andrzej, Jakób i Jan odnaleźli swoje łodzie i węćierze. Puścił ich jeno na krótko, już mu więcej nie umkną. Takie nam się to zdaje proste, tylokrotnie czytaliśmy opowiadanie jak Jezus, idąc brzegiem jeziora, widział przyjaciół swoich zarzucających sieci i dosyć było jednego słowa: „Pójdźcie za mną, a uczynię, że się staniecie rybitwami ludzi” — żeby nie odwracając głowy porzucili wszystko i szli za nim. Uprzednio jednak dał im nowy znak swojej potęgi, znak wybrany spośród tych, które powinny być najmocniej uderzyć te proste dusze. Najprzód pożyzył od nich łodzi, aby ujść od ludu, co napierał nań zewsząd.

{DCN}

— Ile płacę?
— Trzy korony, to jeszcze stary transport.

— Proszę.
— Dziękuję.
— Dowidzenia!
— Moje szanowanie. A przepraszam bardzo, pana oberlejtanta, czy to prawda, że tu przyszedł cały sztrafbatalion?

— Prawda.
— Aj! a po co? Kogo oni myślą karać? za co? Tu w całym naszym mieście nie ma ani jednego złodzieja, ani jednego bandyty! Tu takie spokojne miasto, że drugiego takiego to nie ma w całej Austrii.

— Nie wiem, dość że przyszli.
— A czy to prawda, że trzeba im będzie dać kwatery?... U nas, żydów, to taki kłopot...

— Nie wiem, może.
— Aj! pan oberlejtant wie, tylko... tylko pewnie nie wolno mówić!

— Nie, nie wiem panie. Dowidzenia.
— Moje szanowanie! moje szanowanie!

Bylecki poszedł w górę przez miasto i skręcił ku przedmieściu, gdzie w koszarach piechoty mieściła się jego marszówka. Była to kompania karabinów maszynowych. Zaszedł od strony stajen, było mu bliżej. W stajniach prócz warty nie było nikogo.

— Gdzie chłopcy? — zapytał dyżurnego.

— W rajtszuli — odparł poprawnym koszarowym językiem żołnierza.

Oberlejtant wszedł do niewielkiej ujeżdżalni i zgłupiał! Zobaczył pierwszego żołnierski wiec: chorąży Jan Mazur stał na jakiejś skrzyni i, żywo gestykulując, przemawiał. Przerzywały mu ciągle okrzyki i oklaski. Stojący plecami do wejścia zebrani nie zauważyli Byleckiego, ale spostrzegli go Mazur i nagle zamilkł, nie odrywając od niego swych oczu.

— Co to za zgromadzenie? — zapytał porucznik.

Odpowiedziała mu cisza.

— Co to za narady!? — huknął znów Bylecki.

Żołnierze zaczęli powoli, wzdłuż ścian, kierować się ku wyjściu.

— Zostać! — krzyknął nagle Mazur — porucznik nasz! Może wszystko wiedzieć.

— Najpierw zamknąć wrota — rzekł mocno Bylecki.

Usłuchali.

— A teraz niech jeden stanie przed ujeżdżalnią i uważa, aby tu kto obcy nie wszedł. Jak chorąży robi jakiegoś zgromadzenie, to mógłby choć o tym pomyśleć — ukłęk chorążego.

— Postawiłem Wątrobiaka — usprawiedliwił się Mazur.

— Chciałem słyszeć, co gadają — jąkał Wątrobiak.

— Marszał — wrzasnął nań Mazur.

Wątrobiaka wyniosło za wrota.

— O co idzie? — pytał Bylecki.

— Ludzie do mnie przyszl, panie poruczniku i pytałi o ten sztrafbatalion, że to niby, jakby tak przyszło co do czego, toby trzeba ich rozbroić i to... A że to Tyrolczycy, to będzie ciężko... kaizerjegry za-cięcie...

Bylecki patrzył uważnie po ludziach. Lustrował twarze, ale nie znalazł żadnej obcej. Dla pewności jednak zapytał:

- Czy to wszyscy z marszkompanii?
- Wszyscy.
- Żadnego obcego nie ma.
- Nie.
- Poczekajcie chwilę. Mazur! chodź no pan na stronę.

Podeszli obaj ku wrotom i Bylecki po-czał Mazurowi dawać „kapelusze”:

— Czyscie zwariowali! Jakim prawem zwolaliście to zgromadzenie? Czy nie wie-cie, że możecie wszystko zepsuć?!

— Przyszli do mnie i powiedzieli, że jak ja nie pójdę z nimi, to oni w nocy roz-broją Tyrolczyków. Musiałem... — tłu-maczył się chorąży.

— Nie pan nie musiał! Trzeba było mnie zawiadomić! Nie jest pan tu sam! — beszał Bylecki, pochylony nad przy-sadkowatym Mazurem.

— Panie poruczniku, w kompanii ja sam zaprzysięgałem co dziesiątego człowie-ka, każdy dziesiątnik znowu swoich, to ludzie pewni! Jak pan porucznik każe im się rozjeść, do usłuchają i cicho-sza, bę-dzie spokoj.

Bylecki zwrócił się do żołnierzy:

— Chłopczy! na wszystko przyjdzie czas! Nie wolno niczego robić na własną rękę, bo można zepsuć! Niech każdy dzie-siętnik zabierze swoich ludzi: wrócić ci-chutko do roboty i ani słowa nikomu o tym, co tu było! Wychodzić po kilku i żadnego gadania w koszarach. Pamiętaj-cie! — odwrócił się na pięcie i wyszedł z maneżu.

Wracając do miasta, zajrzał do koman-dy batalionu. Tu też coś było niezwykle-go. W adiutanturze zastał czterech ofice-rów, szepejących tajemniczo.

— Co tam na mieście? — spytał go podporucznik Kolankiewicz.

— Jakto co! Nic. Cóż ma być?

— Podobno niespokojnie.

— Ale skąd! Cicho jest, tylko ktoś puścił plotkę, że to karny batalion...

— A właśnie o to idzie.

— No?

— Nasz chłopcy chcą ich rozbroić.

— Moi też. Zrobili zgromadzenie i mu-siałem ich uspokajać.

— Była tu delegacja z trzeciej i czwar-tej kompanii. Boję się, że nie usłu-chają.

— Trzeba pilnować, by nie zepsuli — mruknął mały kapitan Kubiczek, zawodo-wy oficer austriacki.

— Trudno upilnować — rzekł Bylecki.

— Trzeba po dwóch oficerów inspekcyj-nych, bo jeden nie da rady.

— A trzeba, racja — ofiarował się mło-dziutki Masztalewicz — ja mogę dziś też wziąć służbę.

Nie skończył jednak jeszcze dobrze zdania, gdy w kurytarzu rozległ się tu-pot-huk ciężkich butów gnającego żoł-nierza i drzwi, uderzone z impetem, prawie wyskoczyły z zawiasów. W drzwiach stał młody feldfelbl Struś:

— Na dworcu bitwa — wyrzucił ze zdyszanych płuc.

Zerwali się na równe nogi.

— Chłopczy z trzeciej i czwartej kom-panii rozbijają Niemców i Czechów! Cywile im pomagają! Wszystkim zdzie-

rają z czapek bączki i dają orzelki, a te-raz chcą iść rozbroić Tyrolczyków.

— Stało się — rzekł Kolankiewicz. — Nie powstrzymamy. Trzeba założyć o-rzelki — i podseć do wieszadła.

— Trzeba tam gnać — rzucił się czer-wony jak burak Kubiczek.

Zatrzymał go Bylecki:

— Zaczekaj! Musisz tu siedzieć. Masz przecież objąć komendę miasta. Ja zatele-fonuję do pułkownika, a ty go zaaresztu-jesz, skoro tylko wejdzie. Struś! — zwró-cił się do feldfelbla — gnaj pan po moich ludzi! Cała kompania alarm! biegiem tu! Niech Mazur przyprowadzi. Kolankie-wicz wal ty do miasta i na dworzec: lu-dzi trzeba zegnać do koszar. Jakich ofi-cerów spotkasz, każ im natychmiast gnać tu po rozkazy.

— Zgoda — rzekł Kubiczek, a Struś i Kolankiewicz wybiegli w korytarz.

— A my co? — zapytali prawie rów-nocześnie dwaj pozostali lejtnanci.

— Walcie po telefonistów. Obsadzić natychmiast pocztę, telegraf, telefon, a komendę dworca rekonwalescentami. Nie dopuścić, by jakakolwiek wiadomość wy-dostała się z miasta.

Bylecki i Kubiczek zostali sami.

— Telefonuj po pułkownika.

— Dobrze. — Bylecki zakręcił korbaą aparatu. Mówił cały czas po niemiecku. by nie wzbudzić podejrzenia w telefoni-stkach. Zakomunikował pułkownikowi, że w mieście są rozruchy i prosił o jak najszybsze przybycie.

Zanim pułkownik przyszedł, Kubiczek wpadł na pomysł, by sprowadzić także komendanta Tyrolczyków i mieć dwa pta-ki na jeden strzał. Mogło to ułatwić roz-brojenie. Bylecki się zgodził. Połączył się natychmiast z koszarami artylerii.

— Baonskommandant von Tiroler-Kai-ser-Jaeger zum Apparat!) — szwargotał z wiedeńska.

— Powiedz mu, że pułkownik go wzy-wa...

— Dobrze! — Począł chwilę i lgał dalej po niemiecku: pułkownik Greger wzywa pana majora natychmiast do sie-bie. Sam za chwilę też tu będzie. Dobrze. Czekamy.

— No i co — ciekawił się Kubiczek.

— Powiedział, że zaraz jedzie.

— Ale słuchaj, jeśli on nie przyjdzie sam?

— To co?

— Jakto co!? Trzeba ściągnąć na ko-rytarz ludzi z warty.

— Słusznie. — Bylecki wyszedł do sie-ni i wrzasnął: — Wachkommandant!

W sekundę wpadł kaprał z warty i stanął na „habt-acht”, aż mu w kościach zagrało:

Bylecki nie wiedział, co zrobić: kaprał był Niemcem! Ale Kubiczek znalazł się w kropce.

— Sofort die Wache antretten!)

Szwab zakręcił się na miejscu, ale za-nim wypadł za drzwi, przed oknami ozwał się przeciągły okrzyk: Gewehr heraaaus!)

— Pułkownik już w bramie! — szep-nęła Kubiczek. — Leć na dół, zaaresztuj kaprała, a potem wracaj tu choć z częścią warty.

Bylecki wyszedł i w korytarzu minął pułkownika, wrzeszczącego na idącego za nim kaprała.

— Ta świnią odchodzi od warty! — piszczał saksońskim dialektem. — Ja ci

) Dowódcę baonu tyrolskich strzelców Kaizera do aparatu.

pokażę, gdzie twoje miejsce! A pan gdzie idzie? — wrzasnął na Byleckiego.

— Natychmiast wracam, panie pułkow-niku. Tam czeka kapitan Kubiczek.

— Wracać prędko! — pisał pułkow-nik.

Bylecki zbiegł po schodach jak strzala i wpadł do wartowni. Złapał freitza pod gardło i chrząknął:

— Freiter i czterech ludzi! Za mną, marsz!

Porwali karabiny i wpadli za nim. Na kurytarzu przed adiutanturą zatrzymał ich:

— Uważać co powiem, i słuchać, bo jak nie, to kula w łeb! „Oberst” będzie arestowany. Macie go pilnować! Komend-antem jest kapitan Kubiczek! — Pchnął drzwi i wszedł.

Pod oknem stał pułkownik i tłumaczył coś ostro Kubiczkowi.

— Co to? — zapytał, widząc Byleckie-go z żołnierzami.

Bylecki milczał.

— Cóż to jest? — zirytował się starzec, przekonany, że Bylecki przyprowadził jak-ichś winowajców z warty.

Znowu cisza. Pułkownik zwrócił się w pasji do Kubiczka.

— Co to za milczenie?

Kubiczek podszedł swym drobnym kroczkiem do wieszadła, wdział czapkę z orzelkiem, wpiętym przez Kolankiewicza, stanął frontem do pułkownika i pięknym niemieckim zwrotem oświadczył pułkow-nikowi, że arestuje go w imieniu Rządu Polskiego. — Jak?!

— W imieniu Rządu Polskiego.

— Co to? Rewolucja?! Ja wam dam rewolucję! — ruszył do telefonu, ale By-lecki go uprzedził:

— Pan pułkownik zechce oddać szablę — zażądał Kubiczek.

— Nie oddam. Mnie może arestować tylko równy rangą lub starszy!

— Jestem komendantem miasta.

— Nie oddam szabli.

— Dobrze, ale w takim razie proszę o słowo honoru, że pan z niej nie zrobi r-żytku i że pan bez mego pozwolenia nie opuści tego pokoju.

— Niech się pan nie opiera, panie puł-kowniku — wtrącił Bylecki. — Miasto w naszych rękach.

— Muszę się namyśleć!

— Nie ma namysłu. Albo szabla, albo słowo.

— Więc... słowo... — wykrztusił puł-kownik.

W tej chwili pod oknami zabrzmiała komenda chorążego Mazura. I po sekun-dzie wpadł do pokoju sam Mazur. Zasala-tował, jak sto diabłów:

— Panie poruczniku! chorąży Mazur prosi o rozkazy — ryknął po polsku.

— Sześciu ludzi zostawić tu dla wzmocnienia warty. Jeden kaprał za-stąpi tego Szwaba, a odebrać mu karabin i pilnować. Zaraz idziemy do miasta. Za chwilę przyjdzie tu komendant tyrolskich strzelców, zaaresztujemy go.

— A co! nie mówiłem — ucieszył się chorąży.

— Odstąpić od drzwi — rozkazał uagle kapitan Kubiczek.

W progu ukazał się gruby, podstarza-ły major tyrolskich strzelców. Zasala-tował pułkownikowi i czekał. Ale pułkow-nik milczał.

— Mazur! uwaga! — szepnęła Bylecki.

) Natychmiast wyprowadzić wartę

) Karabiny wziąć.

— W imieniu Rządu Polskiego aresztuję pana, panie majorze — zabrzmiał miły głos kapitana Kubiczka.

Major patrzył nieprzytomnie po obecnych, gdy tymczasem Mazur znalazł się za jego plecami.

— Nie rozumiem — wykrztusił.

— Ja też jestem aresztowany — pisał nagle pułkownik, aż Byłecki parsknął śmiechem.

— Nie rozumiem — powtórzył Tyrolczyk.

— Rewolucja — objaśnił Kubiczek. — Pan zechce oddać szablę lub dać słowo, że pan tego pokoju nie opuści bez mego zezwolenia.

— Szabli nie oddam i słowa nie dam — bulgotał Tyrolczyk.

— Proszę temu panu odpiąć szablę — rzekł Kubiczek do Mazura. — Tak, A teraz odprowadzić obu panów do gabinetu pana pułkownika i postawić przy nich wartę.

— Rozkaz — rzekł Mazur.

— Odpowiedcie przed sądem potowym! — groził, wychodząc, pułkownik.

— Nie szkodzi — zakpił chorąży.

W chwilę potem Byłecki maszerował ze swą kompanią na dworzec kolejowy, z którego rozruch przeniósł się już do miasta. W stronę dowództwa batalionu coraz to gnał jakiś oficer. Gnali Polacy i Niemcy. I ci i tamci biegli, by się dowiedzieć, że to... już!

Byłecki koło poczty zatrzymał kompanię i kazał Mazurowi obsadzić kasę i telegraf — Depesze odbierać, ale telefonować i telegrafować wolno tylko kapitanowi Kubiczkowi — rozkazał.

— Rozumiem.

— Jeżeli was zluzują telefoniści, macie przyjść natychmiast pod artyleryjskie koszary.

— Rozumiem. — Mazur wziął ośmiu ludzi i wszedł do budynku. Nie wzruszyło go to, że jakaś telegrafistka zemlała ze strachu, czy wzruszenia i nie oburzał się na kasjera, który dziwnie mocno zatrasnął kasę. Spokojnie zakomunikował poczciarzom to, co było do zakomunikowania, postawił warty i siadł przy telefonie. Po chwili kazał się połączyć z kapitanem i meldował:

— Poczta obsadzona!

— Dobrze. Gdzie porucznik Byłecki — pytał kapitan.

— Poszedł z kompanią pod koszary artylerii do kajzerjegrów.

— Dobrze. Pamiętać nie łączyć nikogo.

— Rozumiem.

Naprawdę błyskały światełka i terkotały dzwonki. Telefonistka nie zgłaszała się.

— Trzeba jednak zapytać, kto mówi — przyszło do głowy Mazurowi — bo mogą z miasta dzwonić oficerowie.

— Prawda! — zgodziła się telefonistka i wzięła słuchawki na uszy.

— Baon jegrów! — szepnęła w pewnym momencie. — Co robić?

— Łączyć z kapitanem. Niech pani da słuchawki, ja posłucham. — I słuchał:

— Tu baon jegrów — mówił jakiś Tyrolczyk — czy jest u panów major Elsner?

— Jest.

— Muszę z nim natychmiast mówić!

— Niemożliwe, jest u pułkownika.

— A kto tam przy aparacie?

— Kapitan Kubiczek.

— Panie kapitanie! Proszę natychmiast zameldować majorowi, że tu jest



ZWYCIĘSTWO, KTÓRE URATOWAŁO EUROPE. Bitwa warszawska w pamiętnych dniach 15—17 sierpnia 1920 roku, dając wspaniałe zwycięstwo armii polskiej pod wodzą Marszałka Józefa Piłsudskiego, uratowała Europę i cywilizację od zalewu hord bolszewickich. Świątoburcze plany władców czerwone-

go imperium legły w gruzy pod uderzeniem polskiego oręża. Zdjęcie nasze przedstawia Wodza Naczelnego, Marszałka Józefa Piłsudskiego, omawiającego plan bitwy ze swym najbliższym współpracownikiem, ówczesnym dowódcą I-szej armii, gen. Edwardem Śmigłym-Rydzem.

szalona awantura! Jakaś kompania ustawiła karabiny maszynowe dookoła koszar, a jakiś oficer kazał nam złożyć na podwórzu broń. To jakieś wariatwo!

— A co pan zrobił?

— Nic. Ludzie, zmęczeni podróżą, śpią. Karabiny maszynowe zamknięte w jakiejś izbie. Jestem tu pierwszy dzień, nie znam rozkładu koszar.

— A gdzie oficerowie?

— W mieście, po hotelach.

— Proszę pilnować, by nie przyszło do rozlewu krwi. Ja zaraz wysłę tam kompanię piechoty i każe zrobić porządek.

— A czy z majorem nie mogę mówić?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo nie. — Dzwonek zaterkotał trzy razy.

Mazur zdjął słuchawki.

— Ale musis nasz kapitan — rzekł do telefonistki.

Zabłysła jedna z czerwonych lampek.

— Komenda dworca! — szepnęła pan-na.

— Z kim chce mówić?

— Z kapitanem.

— Łączyć! — Mazur znowu wziął słuchawki na uszy:

— Kapitanie — meldował cieniutkim głosem lejtnant Masztalewicz. — Dworzec obsadziliśmy. Pociąg idący z Krakowa puszcza, ale tutejszych pasażerów zatrzymałem w poczekalni.

— Dobrze! — Sprawdzić, kto wysiadł z krakowskich pasażerów. Oficerów kierować do mnie. Prześlę panu kuriera, którego wyprawi pan do Krakowa. Nikogo poza tym z miasta nie wypuszczać.

— Rozumiem.

Chorąży zdjął słuchawki. W godzinę potem przyszli batalionowi telefoniści i Mazur pognął z kilku ludźmi pod koszary obleżonych jegrów. Przyszedł jednak za późno. Jegrzy byli już rozbrojeni. Byłecki poustawiał warty w korytarzach i pod oknami, zostawił tam feldfebla Strusia i pojechał do Kubiczka.

— Jak? powiodło się?

— Dobrze. A co dalej?

— Trzeba aresztować oficerów Niemców, Czechom każemy się pakować i skoro tylko rozkaz przyjdzie z Krakowa wysłemy to wszystko pod strażą.

— A jeśli...

— Co jeśli? — oburzył się mały Kubiczek.

— Jeśli rozkaz nie przyjdzie?

— Musi przyjść.

— Przecie już raz wyznaczono termin i odwołano.

— Teraz nie odwołają.

— Niewiadomo. Termin wyznaczono na pojutrze. Do pojutrze przetrzymamy, ale dłużej nie.

— Tak. Dłużej będzie trudno.

— A jak jeszcze nam przysła na kark parę batalionów?...

— Nie krzacz!

— Cóż, mówię o tym, bo to możliwe. Trzeba się namyślić.

— Nie ma co się namyślać. Wieczór wysyłam kuriera z meldunkiem do Krakowa. W południe będzie z powrotem. Dowieśmy się wszystkiego.

— Psia krew! Gotowiśmy odpowiadać za to przyspieszenie...

— Nie nasza wina. Chłopcy zaczęli, trzeba było kończyć. Dobrze, że ci z jegrami głado poszło.

— No tak. Teraz trzeba brnąć dalej. Telefonuj po burmistrza, starostę i komendanta policji

— Trzeba sprowadzić i naczelnika poczty i urzędu podatkowego.

— Telefonuj.

Narada trwała długo, a rano na murach domów okazały się odezwy, podpisane przez komendanta miasta, starostę i burmistrza. Miasto poczęło się stroić w chorągwie, a przez ulice przeciągały patrole z orzłkami na czapkach. Tłumy czytały odezwy, zaczynające się od słów: „Rodacy! — W całym kraju jednocześnie drgnęło serce Narodu i spadły z nas kajdany niewoli!”

A porucznik Byłecki i kapitan Kubiczek kręcili się nerwowo po małym

pokoju batalionowej adiutantury i mru-
czeli: Czy nie za wcześnie, psia krew!?

— Czyśmy nie zepsuli!?

— Już po jedenastej — rzekł nagle By-
lecki. — Za dziesięć minut przychodzi po-
ciąg z Krakowa.

— Jeśli kurier wróci, będzie telefona-
wał z dworca.

— Kogoś posłał?

— Jednego z nauczycieli.

— O Boże! jeszcze dziesięć minut!

Minęło jednak i dwadzieścia, a telefon
milczał.

— Może zepsuty? — zaniepokoił się
Kubiczek.

Bylecki sprawdził:

— Dobry. Komenda dworca! — Ka-
zał się połączyć telefoniście.

— Czy pociąg już jest?

— Jest.

— Czy kurier wrócił?

— Właśnie jest tu.

— Dawać go do telefonu! — ryczał. —
Masz — oddał słuchawkę kapitanowi.

— Tu Kubiczek — mamrotał zdener-
wowany kapitanisko. Słuchał chwilę i
spokój wracał powoli w uśmiechu na jego
twarzy.

— Więc co? — zapytał Bylecki.

— Wszystko dobrze — rzekł kapitan,
odkładając słuchawkę. — Kazali siedzieć
cicho do jutra. Jutro termin.

Bylecki odetchnął i otarł pot z czoła.
Długo siedzieli potem z nauczycielem-

kurierem, a po południu wyszli do miasta.
Bylecki wstąpił do sklepu Golda po tytoń.

— Moje szanowanie! — kłaniał się ni-
sko trafikant. — Szanowanie! panu komen-
dantowi.

— Proszę tytoniu paczkę.

— Tego co zwykle, czy może egip-
skich.

— Tytoniu.

— Proszę bardzo. Czy pan komendant
widział, że ja zdjąłem orla z szyldu? Tam
w drugim pokoju malują jego na białe-
go. Może pan komendant zobaczy. O! pro-
szę — otworzył drzwi szeroko do sąsiednie-
go kantoru.

Na środkowym stole leżał wielki dwu-
głowy orzeł, a jakiś chłopak smarował go
na biało. Farba nie chciała chwycić i
orzeł był brudny.

— Ależ panie — zauważył porucznik
— też to ptaszę ma dwie głowy!

— To co?

— Orzeł polski ma jedną głowę i jest
w czerwonym polu.

— Prawda! Pola to ja już nie zrobię,
ale jedną głowę możemy mu uciąć. Izy-
dorek, weź piłkę i utnij mu zgrabnie jed-
ną głowę. Za jaki miesiąc, dwa, każemy
zrobić nowego.

— Dlaczego dopiero za miesiąc?

— No wie pan komendant, jak się
wszystko uspokoi i... będziemy pewni...

Bylecki kładł się tego dnia spać u-
śmiechnięty. Myślał o tym zoperowanym
orle: jedna głowa mu odpadła. I już nie
odrośnie. Koniec.

Reflektorem po świecie

STULECIE TELEGRAFU MORSE'A. W lecie
1837. r. skonstruował Amerykanin Morse, z zawo-
du malarz, aparat sygnalizacyjny, oparty na dzia-
łaniu elektromagnesu. Pierwszy model tego apar-
tu był bardzo prymitywny.

Później udoskonalił Morse swój wynalazek i
jego aparat do dziś dnia jest używany. Początko-
wo Morse musiał walczyć z dużymi trudnościami,
zanim udało mu się przekonać fachowców o korzy-
ściach, jakie można wyciągnąć z wprowadzenia te-
legrafu. Dopiero po długich staraniach udało mu
się uzyskać pozwolenie na przeprowadzenie pierw-
szej linii telegraficznej między miastami Waszyng-
ton i Baltimore.

Ale od tej chwili sukces był osiągnięty i tele-
graf Morse'a podbił cały świat.

ILE WARTO JEST PTASIE GNIAZDO. Przy-
puszczamy, że w gnieździe szczygła znajduje się 5
młodych. Każdy ptaszek pożera przeciętnie około
50 liszek, poczwerek itp. Okres żywienia przez ro-
dziców trwa około 30 dni, w tym okresie młode
ptaszki pożarły więc około 7500 szkodników.

Każda liszka pożera co dzień przeciętnie taką
ilość liści i kwiecica, ile sama waży. Jeżeli przy-
jmiemy, że do całkowitego przeobrażenia się liszka
potrzebuje 30 dni, pożerając dziennie jeden pą-
czek, z którego mógłby być owoc, to otrzymamy
fantastyczną cyfrę 225.000 pączków (7500×30),
zniszczonych przez liszki.

Wartość jednego gniazdzka równa się w takim
razie wartości 225.000 jabłek, gruszek lub śliwek,
które dzięki istnieniu 5 małych ptaszków zostały
uratowane od zagłady.

PRZYKOTOWANIA DO IGRZYSK TOKIJSKICH

Na czele czteruosobowej delegacji japońskiej
przybył do Warszawy stały delegat Japonii do Mię-
dzynarodowego Komitetu Olimpijskiego i jeden z
głównych organizatorów igrzysk tokijskich w r. 1940

— hr. Miczimasa Sojeszima.

Na pytanie o toku przygotowań do olimpiady
hr. Miczimasa Sojeszima odrzekł:

— Narazie zajmowaliśmy się głównie sprawą
stadionu. Po dłuższych naradach postanowiliśmy
z użytkować istniejący już wielki stadion imienia
naszego wielkiego cesarza Meidzi. Stadion zostanie
odpowiednio powiększony tak, aby mógł zmieścić
około 90.000 widzów. Obok będzie się znajdował
stadion pływacki, obliczony na 30.000 widzów.
Przygotujemy, że te rozmiary wystarczą. Do prze-
budowy jeszcze w tej chwili nie przystępujemy.
Jest jeszcze na to dużo czasu.

— A Olimpiada zimowa?

— Bardzo chcielibyśmy, żeby się w ogóle od-
była, ale to sprawa od nas niezależna. Zależy ona
od rozstrzygnięć, jakie zapadną na sesji M. K. Ol.
w kwestii: amatorstwo a profesjonalizm. Istnieje
bowiem w tej mierze różnica zdań między M. K. Ol.
a Międzynarodową Federacją Narciarską. Olimpi-
ada zimowa odbędzie się jedynie wówczas, gdy tę
różnicę zdań uda się usunąć. Gdyby zaś znaleziono
szczęśliwą formułę, terenem olimpiady zimowej by-
łaby nasza znana miejscowość Sapporo. Dążyć bę-
dziemy do tego bardzo usilnie. Sport zimowy jest
u nas również bardzo lubiany i rozpowszechniony.
Mamy 53 kluby sportów zimowych, liczące 83.000
członków zarejestrowanych. Ogółem sporty zimowe
w Japonii uprawia ok. 3 miliony osób.

— Czy ostatnio daje się zauważyć dalszy roz-
wój sportu w Japonii?

— Ogromny. Przyczyniły się do tego sukcesy
nasze na olimpiadzie berlińskiej. Perspektywa to-
kijskiej jest kolosalnym bodźcem. Nic tak nie po-
tęguje zapалу sportowego, jak olimpiady.

— Nie żywi Pan obaw, że wobec wielkiej od-
ległości i znacznych kosztów transportowych, olim-
piada tokijska może wypaść słabo?

— Czynnimy energiczne starania i zdaje się, że
z dobrym skutkiem, o 40 proc. zniżki kolejowe i
okretowe dla zawodników i ich otoczenia. W Ja-
ponii przejazd będzie zapewne zupełnie bezpłatny.

— A dla widzów?

— Niestety żadnych zniżek nie zdołamy
uzyskać.

— Może to spowodować poważny deficyt tej
imprezy.

— Nie jest obliczona na zysk. Wydatki preli-
minowane są na 15 milionów jenów, a komplet
frekwencji da najwyżej trzy miliony jenów. Spod-
ziewamy się jednak mimo wszystko, że około jed-
nej trzeciej miejsc na stadionie zajmą goście za-
graniczni. Kancelarz Hitler obiecał nam obecność
20.000 Niemców, którzy przybędą specjalnymi
okretami i na nich będą nocowali i stołowali się.

— Gdzie znajduje się stadion?

— W centrum miasta. Od hotelu Imperial, któ-
ry będzie specjalnie przystosowany do potrzeb gości
olimpijskich będzie zaledwie 20 minut drogi, a
więc znacznie mniej, niż na stadion berliński, od-
legły o kilkanaście km. od krańców miasta.

— Po za Niemcami spodziewane są jeszcze in-
ne liczniejsze wycieczki?

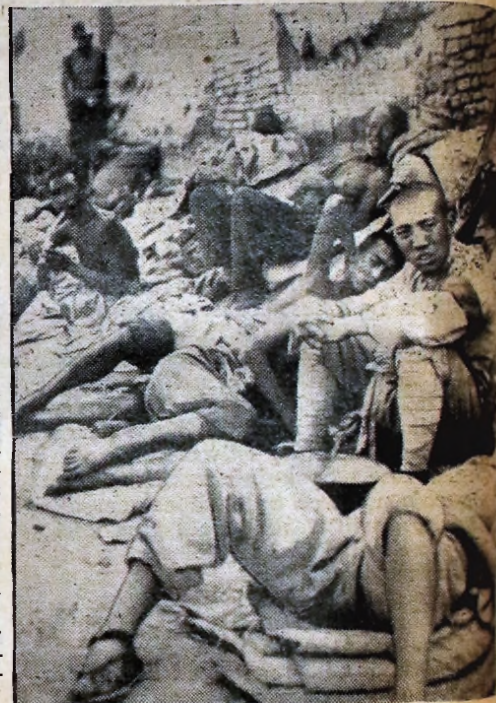
— Będzie chyba do pięciu tysięcy Amerykanów,
sporo Chińczyków i Filipińczyków. Mniej, oczy-
wiście, Europejczyków...

Burza

dlaczego chińczycy

Mało kto zwrócił uwagę na tę zbieżność dat. Dzień
niedawnego wkroczenia wojsk japońskich do Pekinu
zbiegł się niemal z 43-cią rocznicą rozpoczęcia woj-
ny chińsko-japońskiej o Koreę. Albowiem właśnie
w dniu 25. lipca 1894 roku padły na Morzu Żółtym
pierwsze strzały armatnie. To zespół trzech kra-
żowników japońskich — pod wodzą kontradmirala
Tsuboi — zatopił dwie kanonierki chińskie, uszkodził
ciężko krążownik oraz storpedował transportowiec,
na którym znajdowało się dwóch generałów chiń-
skich, instruktor Niemiec major von Hanneken i
1.200 żołnierzy z 12 działami. W bitwie tej japoń-
skim krążownikiem „Naniwa” dowodził młody i
obiecujący komandor, którego nazwisko miało nie-
bawem przejść do historii: brzmiało ono — Hei-
ihochiro Togo.

Chiny posiadały wówczas dość dużą marynarkę
wojenną, złożoną z dwóch pancerników po 7.500 ton,



Żołnierze 29-ej chińskiej dywizji rozbitej przez Ja-
pończyków przy zajęciu Pekinu

sześciu krążowników, kilkunastu kanonierek i około
dwudziestu torpedowców. Jednak personel tej floty,
mimo wysiłków brytyjskiego komandora Langa, nie
stał na wysokości zadania, a zaopatrzenie i amunicja
pozostały wiele do życzenia. Na czele floty stał
admiral Ting, były oficer kawalerii, człowiek dzielny,
ale pozbawiony zupełnie fachowego doświadczenia.

Natomiast marynarka japońska była dopiero w
zaraniu swego rozwoju. Przewyciężywszy opór sta-
konserwatywnych, pionierzy japońskiej idei morskiej
dopiero w siedemdziesiątych latach przeforsowali
swoją program i rozpoczęli budowę okretów. Wybitny
francuski inżynier, Emil Bertin, stworzył im flotę,
złożoną wprawdzie z samych krążowników i jednostek
lekkich, ale pod względem ducha, wyszkolenia i si-
łowności, stojąca znacznie wyżej od chińskiej. Si-
łami morskimi Japonii dowodził admirał Ito, który
wykształcenie otrzymał w zakładach europejskich.

Toteż bitwa morska pod Yalu (17. września
1894 roku) zakończyła się zupełną klęską Chin, ma-
ło przewagi liczebnej tych ostatnich. Resztki floty
państwa niebieskiego schroniły się do Wej-haj-wan,
które zostało zablokowane i zdobyte narówni z

nad Azją

cy ponoszą klęski

Portem Artura, Nieszczęsny Ting popełnił samobójstwo.

Osiągnawszy panowanie na morzu, Japończycy stali się panami sytuacji i niebawem wojnę wygrali. Inna rzecz, że korzyści materialne wynieśli z niej skąpe, a to z powodu interwencji mocarstw europejskich, obawiających się słuszenie zbyt szybkiego wzrostu państwa wschodzącego słońca. Rozrostu tego jednak pohamować się nie dało, a jeśli korzyści materialne z wojny 1894 — 5 r. były dla Japonii nieznaczne, to w każdym razie korzyść z doświadczenia wojennego ogromna. W dziesięć lat później, ta już znacznie gruntowniejsza flota japońska, pod wodzą Heichocho Togo, zdecydowała o zwycięstwie nad Rosją, raz jeszcze zapanowała na morzu i dając państwu swemu wszystkie płynące stąd korzyści.

Historia się powtarza. Obecny konflikt chińsko-japoński ma pod względem strategicznym bardzo podobny charakter: walki między państwem prowadzącym aktywną politykę morską a państwem, prowadzącym bierną politykę morską, nie mającym odpowiedniej do swych potrzeb marynarki wojennej. Historia uczy nas, że w takim wypadku państwo o charakterze kontynentalnym prędzej lub później ulec musi, bo przeciwnik ma nad nim przewagę ruchliwości i niedostępności. Może pod osłoną swych dział lądować jak chce i gdzie chce, może przecinać komunikację, prowadzić blokadę daleką lub bliską, topiąc transporty artykułów pierwszej potrzeby... W razie niepowodzenia na lądzie, może wsiąść z powrotem na okręty i odpłynąć — praktycznie niedostępny. Innymi słowy — państwo bez marynarki wojennej może tylko odbierać razy bez możliwości ich oddania...

Tak było w r. 1905 z Rosją, której marynarka wojenna nie stała na odpowiednim poziomie do jej polityki, tak było w ostatniej wojnie z Niemcami, którym wszystkie zwycięstwa lądowe nie dały możliwości rozluźnić żelaznego pierścienia brytyjskiej blokady, tak było niegdyś z Napoleonem, którego prawdziwą klęską było nie Waterloo, ale dwadzieścia lat wcześniej... Trafalgar. Tak było też z Chinami w r. 1894, i tak jest obecnie. Tylko laik dziwił się może, że „kolos chiński” nie może sobie dać rady z „japońskim karłem”. Albowiem, dzięki przewidywającej polityce morskiej, „karzeł” ten wyrósł na trzecie mocarstwo świata, któremu nikt już nie śmie dyktować warunków.

O ile każda nowa wojna była dla Japonii bodźcem do rozbudowy marynarki wojennej, o tyle Chiny, mimo oczywistej potrzeby i surowej lekcji z poprzedniej wojny, prawie nic w tym kierunku nie uczyniły. Ich flota dzisiejsza w sumie ma około 50.000 ton i 15.000 ludzi, przy minimalnej wartości militarnej. Wartość bojową posiadają jedynie trzy krążowniki typu „Ning-Hai”, cztery kontrtorpedowce po 800 ton (typu zbliżonego do japońskich „Karukaya”) oraz zbudowane w Anglii i Włoszech szybkoobrotowe ścigacze i kutry torpedowe o szybkości 30—40 węzłów — 8 jednostek.

Przeciwko tym siłom, rozslanym na olbrzymiej przestrzeni państwa niebieskiego, od granicy Indo-Chin aż po granicę Japonii kontynentalnej — stanęła dziś wspaniała, na zwycięskich tradycjach oparta, pełna poświęcenia dla ojczyzny, duchem ofensywnym przepojona armada wschodzącego słońca. Armada, której wyporność globalna wynosi 900.000 ton, personel 85.000 ludzi, a sprzęt należy do najbardziej nowoczesnych na świecie. Miara japońskiego wysiłku morskiego niech będzie choćby fakt, że w r. 1875 jej flota wojenna jeszcze nie egzystowała, podczas gdy dziś jest trzecią co do ilości, a drugą co do sprawności flotą świata...

10 okrętów liniowych, 5 lotniskowców, 40 krążowników, 130 kontrtorpedowców, 75 łodzi podwodnych i z górą 150 okrętów pomocniczych stoi dziś na straży polityki japońskiej, gotowe już samym istnieniem poprzeć każdy krok dyplomacji milczącej. Nie ulega wątpliwości, że jest to argument, wobec którego rząd chiński i jego armia będą bezsilni. I tym się tłumaczy dlaczego „kolos chiński” nie może sobie dać rady z inwazją ze Wschodu.

J. Grt

Jeden z oddziałów japońskich podczas odpoczynku na froncie pod Szanghajem



pekin — miasto północnego pokoju

Po krótkotrwałych walkach Pekin został zdobyty przez wojska japońskie. Nie pierwszy to i nie ostatni upadek tego miasta. Najbardziej na północ wysunięta twierdza państwa chińskiego od wieków narażona była na ataki nieprzyjaciół i często zmieniła swoich władców.

Starożytne mury niejedną zawieruchę przeżyły i różnych obrońców nosiły na swych szczytach, ale miasto przetrwało rozliczne wojny i dziś jest jeszcze wielkie i potężne. „Miastem północnego pokoju” — Peiping-fu, — Chińczycy nazywają Pekin, gdyż, niezależnie od epoki, było ono tu, na północy, ostoją ludu i pokoju.

Już w najwcześniejszym okresie historycznym Chin, kiedy kraj ten nie stanowił jeszcze tak dobrze zorganizowanego państwa, obszary przyległe do obecnego Pekinu były terenem niestannych bojów między Chińczykami a koczowniczymi hordami Mongołów i Tatarów, które tutaj ścigały z północnych ziem. Obszary te w historii Chin podobną odegrały rolę jak Dzikie Pola w dziejach Rzeczypospolitej.

Mniej więcej około 1.000 roku przed naszą erą, Pekin był stolicą udzielnego państwa Ki. Wojownicy mieszkający tego państwa niechętnie zajmowali się handlem lub rzemiosłem, woleli w tym wyrczyć się spokojnymi przybyszami z południa. W ciągu stuleci węzły zadzierzgnięte między krajami północy i południa wzmocniły się do tego stopnia, że kraj Ki zamienił się w samodzielne królestwo graniczne, zależne tylko w małym stopniu od potężnego już wówczas Południa.

Królestwo to przetrwało bez istotnych zmian do r. 220 przed Chr., kiedy to zostaje formalnie wcielone do zespolonego cesarstwa chińskiego. W tym okresie Pekin otrzymuje warowne mury i zostaje zamieniony na potężną twierdzę, której przypadek doniosło zadanie do spełnienia — powstrzymanie najazdów koczowników z Północy i z głębi Azji.

Zadanie to chlubnie spełnił Pekin — nazwa jego w tym okresie była zresztą inna — aż do upadku wielkiej dynastii Thang (początek X w. po Chr.). Wtedy to, kiedy na tronie cesarstwa zabrakło człowieka, umiejącego stworzyć sobie władzę potrzebną do utrzymania w ryzach tak olbrzymiego państwa, rozgorzały w całych Chinach zażarte walki wewnętrzne, których celem było zdobycie chociażby części cesarskiej władzy.

Zamieszki wewnętrzne wykorzystało północne plemię mongolskie, wycinając w pień załogi chińskie w miastach północnej dzielnicy i zakładając niezależne państwo Liao. Pekin zostaje stolicą tego państwa, a ponieważ spełniało ono teraz podobną rolę, jak dla Chin, t. zn. najbardziej wysuniętej twierdzy w kierunku nieprzyjacielskiego kraju, tylko już w kierunku odwrotnym, otrzymało nazwę „Stolicy południa” — Nanking.

W międzyczasie walki wewnętrzne cesarstwa chińskiego znacznie osłabły, na tronie zasiadli władcy z dynastii Sung. Władcy ci musieli teraz na nowo zdobywać tereny odbrane przez najazdźców w czasie bratobójczych walk. Ale kraj był osłabiony i mowy nie było o prowadzeniu regularnej wojny.

Widząc, że przy użyciu jedynie własnych oddziałów północnej dzielnicy nie uda się odzyskać, władcy chińscy wchodzą w porozumienie z innym plemieniem mongolskim, jeszcze bardziej na północ zamieszkałym, by z obu stron natrzeć na państwo Lia, powstałe na byłych ziemiach cesarstwa.

Polityka ta zawiodła jednak nadzieje Chińczyków. Wprawdzie sprzymierzeńcy cesarstwa wypędzili najazdźców z północnej krainy, ale, przekonawszy się o swej sile, nie poprzestali na tych sukcesach, tylko wyparli Chińczyków aż poza Jang-tse, zakładając na północ od tej rzeki nowe państwo.

Jest to pierwszy w historii podział terytorium Chin na północne i południowe.

Na północy panowali wspomniani barbarzyńcy mongolscy, których władcy założyli dynastię Kin, czyli złota, i na stolicę obrali nadal jeszcze potężny Pekin, nadając mu nazwę Czang-tu. Państwo ich nie miało jednak długiego żywota, a mieszkańcy jego żadnej kultury nie stworzyli, jedyny ślad jaki po nich pozostał, to zwyczaj noszenia warkoczy.

Od zachodu ruszyło w tym okresie niezwykle bitne plemię Mongołów, zjednoczone pod rozkazami niezwycięzonego wodza Dżyngis-Chana. W r. 1215 Dżyngis-Chan na czele swych hord zdobył Czang-tu i osiadł tu plemię wyparł daleko na północ. Nieodbitki owych wiarołomnych sprzymierzeńców cesarza chińskiego osiadły nad Amurem, nie odgrywając żadnej większej roli w dziejach do XVII w., kiedy występują pod nazwą Mandżurów.

Na zdobytym terytorium Dżyngis-Chan założył jedno z swych sezonowych państw ze stolicą — oczywiście — w Pekinie, zwanego teraz Kanbalik. Państwo to było bazą wypadową dla następcy Dżyngis-Chana, Hubilaja, który, w oparciu o ten północny kraj, dokonał podboju całych Chin (1280), zakładając dynastię Juan.

Dynastia ta nie panowała jednak długo: w 1368 r. były mnich buddyjski Czu Juan Czang na czele grupy narodo-wo świadomionych obywateli chińskich zdobył najpierw Pekin, po tym Nan Kin („Stolica południa”) i ogłosił się cesarzem nowej dynastii Ming. Dynastia ta rezydowała początkowo w Nan Kinie, dopiero w 1421 r. Mingowie przenoszą stolicę do Pekinu. Wtedy to po raz pierwszy miasto to otrzymuje swą dawną nazwę Pei King, t. j. północnej stolicy w odróżnieniu od Nan Kingu — południowej stolicy.

Po 200 przeszło latach panowania dynastii Ming Chiny zostały podbite przez Mandżurów (1633 r.), którzy założyli ostatnią dynastię cesarską Tshing. Władcy tej dynastii rezydowali do 1912 r., t. j. do upadku cesarstwa w Pekinie. Także w początkach republiki Pekin był oficjalną stolicą państwa, dopiero po wzajemnych walkach między dzielnicami północną a południową, zakończonymi przewagą tej ostatniej (1928), stolicą Chin stał się Nan Kin.

Ale Pekin otrzymał znowu wskrzeszoną swą nazwę „Miasta północnego pokoju”, czyli Pei Pingu i aż do ostatnich zdarzeń godnie spełniał swoje zadanie.



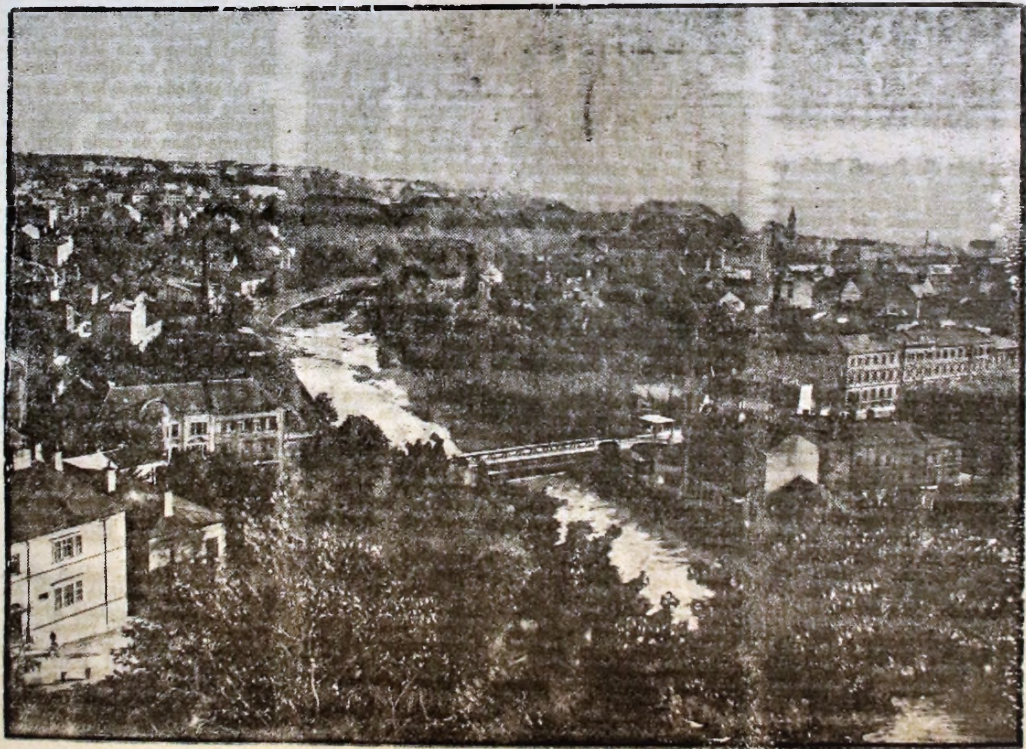
Na lewo:
W mieście „Króla Chłopków”. Kazimierz nad Wisłą. Jeden ze starych spichrzów zbożowych z końca XVI wieku



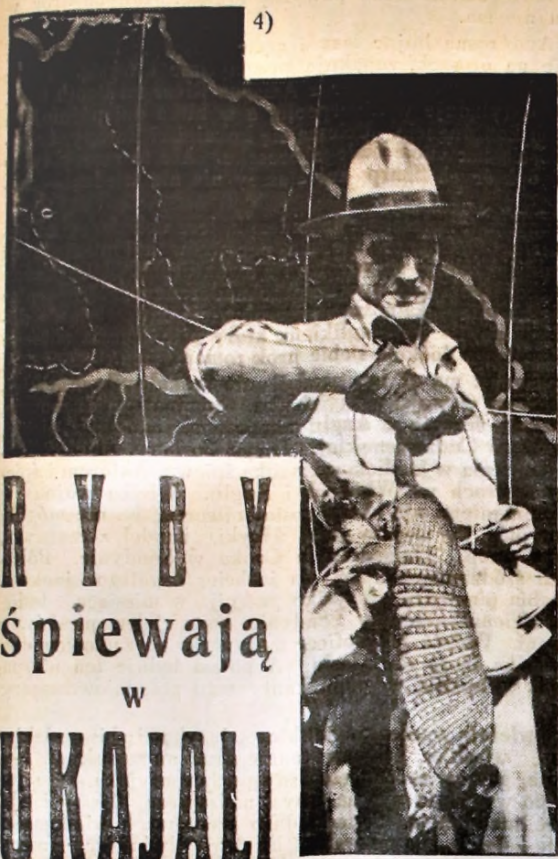
U góry na prawo:
Marszałek Piłsudski wśród akademików wileńskich, członków korporacji „Republica”



Na prawo:
Zakład dla niewidomych w Laskach pod Warszawą. Niewidome dziewczynki uczą się czytać ze specjalnych książek, w których litery są wypukłe, co umożliwia rozpoznanie palcami ich kształtów



Ogólny widok Cieszyna



4)

R Y B Y
śpiewają
 w
UKAJALI

A
r
k
a
d
y
F
i
e
d
l
e
r

Tak więc żyję od tygodnia w sąsiedztwie niebezpiecznych owadów. Przez całą noc słyszę ich denerwujące szelesty, a rano spoglądam na bagaż, czy jeszcze jest. Jest. Pomimo nastroju sielankowego odnoszę czasem wrażenie, jak gdybym spisał obok beczki dynamitu i zdaje mi się, że lada figlarny kaprys, a sto tysięcy termitów wysypie się pewnej nocy na pożarcie mego dobytku. Toteż kładąc się do spoczynku, mimowoli wzdycham ukradkiem o łaskę do bożka termitów, siedzącego podobno w gnieździe nade mną i kierującego drogami rozbójników.

Mój dobry znajomy w Iquitos, don Miguel Pereira, jest typowym peruwiańczykiem. Cztery piąte swego życia zużywa na erotykę (w dosłownym znaczeniu), resztę na politykę, przy czym lubuje się w patetycznych metaforach. Gdy pewnego razu staliśmy na Placa das Armas (bo gdzieżby indziej?), przelatywało, jak zwykle, znów jakieś hałasujące stado papug. Don Miguel, który jest równie wielkim patriotą jak politykiem, wskazał na nie i oświadczył:

— Patrz pan! To są peruwiańskie papugi i wyraźnie wołają: Letycja, Letycja. Letycja musi być nasza! — zakończył dobitnie.

Gdy mu żartem odpowiedziałem, że takim samym prawem mogą to być kolumbijskie papugi, bo w ich krzyku dosłyszec można raczej żądania: „Loretol“, don Miguel na to nic nie odrzekł: przechodziły właśnie obok nas dwie czarnookie, uśmiechnięte piękności i nagle tak pochłonęły jego uwagę, że zupełnie zapomniał o papugach i Letycji.

GORĄCE MIASTO

Siedemdziesiąt lat temu, w miejscu, gdzie do Amazonki wpada rzeka Itaja, wznosiły się wśród głuchej puszczy szalasy obozu Indian Iquitów. Około roku 1860. przybyli tu jezuici i zaczęli nawracać pogan i krzewić cywilizację. Równocześnie przybyło kilkunastu awanturniczych zuchów i zaczęło wybijać pogan i gwałcić poganki. Z tych połączonych praktyk powstała osada, którą nazwano — ku uczeniu wybitych — Iquitos.

Dzięki znakomitemu położeniu nad Amazonką, o dzień drogi poniżej ujścia wielkiej rzeki Ukajali, Iquitos rozrastało się szybko. Lata od 1904 do 1914, kiedy to kauczuk osiągnął naj-

wyższe ceny, były okresem największego rozkwitu i bogactwa, poczem Iquitos, tak samo jak jego brazylijski towarzysz doli i niedoli Manaos, zaczęło podupadać.

Chociaż dzikie papugi bezczelnie przelatują sobie ponad samym Iquitos dziś tak samo jak za czasów obozu nieszczęśliwych Indian, to jednak nie należy umniejszać jego obecnego znaczenia. Pod względem gospodarczym miasto to stanowi jedyne ujście dla produktów całego wschodniego Peru, tak zwanej Montanii i jej bogatych lasów o obszarze dwa razy większym niż Polska, pod względem politycznym zaś jest niezmiernie ważnym bastionem peruwiańskim przeciwko trzem zachłannym sąsiadom: Kolumbii, Brazylii i Ekwadorowi.

Rzecz dla pojęć europejskich zgola groteskowa: Iquitos, ruchliwe miasto o dwudziestu tysiącach mieszkańców, stolica wielkiego departamentu, nie posiada ani jednej drogi lądowej, łączącej je z wnętrzem kraju. Kto pójdzie w las, przylegający ściśle do miasta, niebawem stanie; podmiejska droga czy ścieżka skończy się i ani rusz dalej. Dalej czyha w niezgłębionej kniei śmierć z głodu lub w bagnie, a podczas półrocznych deszczów — w leśnej wodzie. Iquitos jest wyłącznie portem, niczym innym, za to portem pierwszorzędnym, nawet morskim, pomimo oddalenia od Atlantyku o cztery i pół tysiąca kilometrów: do niedawna, przed światowym kryzysem, dochodziły dotąd Amazonką wielkie statki transatlantyckie.

Gdy policja poszukuje zbrodniarza w Iquitos (rzadko zresztą to bywa), obstawia tylko wyjścia wodne, wiedząc, że tylko wtedy zbiegnie. Ucieczka w stronę lasu byłaby w większości wypadków samobójstwem.

Wszystko nastawione tu jest na rzekę. Człowiek bezustannie patrzy na Amazonkę, od niej oczekuje wieści ze świata, ona mu przywozi żywność, gasi pragnienie. Jeżeli przed tym mówię, że Iquitos ma zaplecze o obszarze dwa razy większym niż Polska, to należy pojęcie to zredukować i odnieść tylko do sieci dróg wodnych. Jedynie rzeki, większe i mniejsze, stanowią żywotne arterie Montanii i wyłącznie nad ich brzegami żyją ludzie mniej lub więcej cywilizowani. Pomiedzy rzekami, pomiedzy tymi arteriami brak żywego ciała, jest tam próżnia, jest tylko bezużyteczna, martwa dla świata puszcza, zajęta przez dzikie zwierzęta i znacznie dzikszych Indian.

Z wysokiego nadbrzeża iquitoskiego, zwanego Malekonem, panują nad Amazonką, wpańtrzone w jej wody, wielkie domy handlowe zagranicy. Coprawda, nie sięgają ponad pierwsze piętro i jest ich tylko kilka, lecz panują dosłownie, a ich palec na pulsie Montanii bywa czasem chropowaty. Anglia, Niemcy, Francja, Belgia, Hiszpania, Stany Zjednoczone. Handlują wszystkim: przywożą taną tandetę i swoją politykę, wywożą złoto i kokainę. Malekon, to kapitał międzynarodowy, to konsulowie zagraniczni, śmietanka towarzyska, to twarde warunki, ważne decyzje, armaty, horyzont. Gdy konsul angielski powie: „No!“, to przestaną przysodzić z Parą statki Amazon River Company i Iquitos, odcięte od świata, co zrobi?

Do Malekonu przylega śródmieście, a tam na wszystkich ruchliwych narożnikach ulic rozsiadły się sklepy chińczyków. Także japończyków. Dziwnie ich wiele. Przednie strażce Azji przekroczyły już Kordyliery, żołci strzeżycy zajęli stanowiska. Przyszli jako kupcy: ceny ich są najniższe, kredyt najdłuższy. Ale cera ich jest brudna i ziemista i brzydkie są ich dzieci, spłodzone z peruwiańkami. Uśmiechnięci, zapracowani, zagadkowi, zdobyli już ulice śródmieścia Iquitos, skąd tylko krok do Malekonu i Amazonki.

Cztery piąte ludności Iquitos, to proletariaty mieszańców krwi białej i czerwonej, z wybitną przewagą krwi czerwonej: czole. Fizycznie świetnie rozwinięci, o pięknej skórze koloru kasztanów, o szerokich ramionach i dobrych mięśniach, natomiast umysłowo zupełnie degeneraci. Leniwi aż śmierdzą, bez najmniejszej energii i charakteru, tępe, niewolnicze natury, wrogowie jakiegokolwiek myślenia. Nie znają (i nie uznają) troski o jutro: za to, o władnięci wybujałym erotyzmem, marzą tylko o dwóch rzeczach: o zdobyciu banana na dzisiejszy obiad, a kobiety na dzisiejszą noc. Banan wypada tylko zerwać, kobiety są wiecznie głodne pieszczot. Ugor społeczny bez żadnej korzyści dla państwa.

W białym domu prefektury, na Makelonie, siedzi w swej sali starszy, przystojny pan o męskiej, energicznej twarzy i myślawych oczach: don Oskar Mavila, prefekt nad całym obszarem Montanii, a zarazem dowódca sił zbrojnych w tej części kraju. Wykształcony na uniwersytetach zagranicznych, kulturalny li meńczyk, kocha swoją ojczyznę z całej duszy i pragnąłby ją widzieć szczęśliwą i bogatą. Łagodzi konflikty, usmierza fermenty i po odbyciu konferencji z nienasyconym Makelonem snuje ciche marzenia: gdybyż tak dzieje z przed siedemdziesięciu lat się powtórzyły, gdyby — o Boże! — przybyło z Europy, oho-

jętne czy z Hiszpanii, czy z Polski, nie kilkunastu, lecz tysiąc tegich zawiadaków, pogwałciło mu wszystkie młode czole w Iquitos i wsączyło do Montanii trochę białej, twórczej krwi! Wtedy, być może, nie wyglądałyby tak czarno chmury, kłębiące się właśnie od wschodniej granicy, z nad rzeki Putumaju i z nad Letycji.

Iquitos leży prawie nad równikiem i jest to bardzo gorące miasto. Wieczorem powietrze ochładza się. Wtedy opuszczam kłębowisko fermentów rasowych i idę nad brzeg Amazonki. Odwracam się plecami do chińczyków, konsulów i namiętnych czol. Przyglądam się igrającym delfinom. Piękne to stworzenia i coraz bardziej jestem pod urokiem rzeki, nad którą panuje świeży, wieczorny powiew z zapachem dalekich orchidei.

TRZECH ANGLIKÓW W IQUITOS

Nazywają się Massey, Sharp i O'Connor.

Mister J. W. Massey jest angielskim konsulem w Iquitos — His British Majesty's Consul. Poza tym jest niekoronowanym królem wschodniego Peru, pierwszą figurą nad Maranionem i Amazonką. Krajem rządzi właściwie peruwiański prefekt departamentu, ale mr. Massey, gdy uzna za wskazane, może ten kraj wprowadzić w wielkie kłopoty i odciąć od świata. Anglicy, mistrze Malty, Gibraltaru i Suez, umieli stworzyć nad Amazonką taki układ sił i stosunków, że są panami sytuacji i że — Norddeutscher Lloyd rezygnuje z rywalizacji i nos opuszcza na kwintę, a amerykańska Standard Oil Company, po straceniu dwunastu milionów dolarów, zaprzestaje niepyszna pracy. Bo tak chce angielska racja stanu.

Mr. Massey jest pozornie tylko dyrektorem filii Booth-Line'u w Iquitos, niczym więcej. Booth Line, to ta linia okrętowa, która wprowadza Europę do Pará i do Manaos. — Booth Line naprawdę dzierży monopol na komunikację między dolną Amazonką a zachodnią Europą, lecz statki jej nie idą wcale powyżej Manaos i nie docierają do Iquitos. Do Iquitos dochodzą statki innej kompanii, The Amazon River Steam Navigation Company, rzekomo należącej, pomimo angielskiej nazwy, wyłącznie do Brazylii i rzeczywiście na statkach zatrudniającej samych brazylijczyków. Ale, o dziwo, w Iquitos mr. Massey, konsul angielski, sprzedaje bilety na parowce Amazon Riveru, a nie konsul brazylijski; mr. Massey dyktuje kategorycznie warunki na rzece i każe na przykład biednym kolonistom polskim likwidującej się kolonii w Kumarii jechać pierwszą klasą, a nie tańszą trzecią. Tak widocznie chce angielska racja stanu.

Ojciec konsula był również urzędnikiem w Booth Line. Dając młodego syna do biura, wiedział, że daje kompanii człowieka o znamionach wybitnie angielskich: uczciwego i sumiennego. Tymi zaletami wybił się młody Massey, a gdy później wyrósł na dwumetrowego olbrzyma o twardej szczękę, dziwnej stanowczości, zaszczytnym brzusku i szorstkiej bucie, cechującej niektórych anglików, dyrekcja Booth Line'u stwierdziła, że należy go zużyć na właściwym miejscu i posłała go do Iquitos.

Massey to stanowczy i dumny anglik, ale przekonany jestem, że tkwi w nim serce miękkie, w pewnych tylko momentach się ujawniające. Uważa anglosasów za pierwszy naród na świecie, wzięł sobie za żonę najpiękniejszą peruwiankę z Iquitos i z pogardą wyraża się o Południowej Ameryce. Przez osiem miesięcy pracuje nad gorącą Amazonką, resztę roku spędza na wakacjach w Anglii. Mr. Massey po siedmiu latach nie nauczył się należycie języka hiszpańskiego, ale wszyscy wyśmienicie go rozumieją. Wystarczy mu angielski. A gdy mr. Massey stoi w porcie w Iquitos i spogląda za odjeżdżającym statkiem Amazon Riveru (należącym rzekomo do brazylijan), wtedy wszyscy wiedzą, że stoi tam człowiek, który jest panem tej wielkiej rzeki od Iquitos aż do samego jej ujścia.

Mr. Sharp, drugi anglik, był swego czasu urzędnikiem bankowym w Bogocie w Kolumbii, gdy dostał wezwanie z decydujących kół angielskich, by udał się do Iquitos i wysanował chwiejącą się firmę Izraela, angielskiego żyda. Mr. Sharp poszedł do Iquitos, przeprowadził wraz z kapitałem angielskim sanację Izraela i potem pozostał. Rządy po angielskim żydzie objął rdzenny anglik. A czym jest Izrael? To najpoważniejsza firma w Iquitos, eksport i import i kilka parowców, obsługujących wszystkie rzeki powyżej Iquitos aż do podnóży Kordyliarów: Ukajali z Pachiteą i Maranion z Huallagą.

Mr. Sharp ożenił się również z peruwianką, również narzeka na Iquitos i też nie nauczył się poprawnie języka hiszpańskiego. Jest uprzejmy, uczynny, uczciwy i bardzo pobożny, co dzień chodzi do kościoła. Mr. Sharp nie jest konsulem angielskim, lecz przyjaźni się z konsulem. Obydwaj podzielili się w rządach. Massey panuje nad Amazonką poniżej Iquitos, Sharp

dzierży władzę nad rzekami powyżej Iquitos. Innych dróg w tym kraju nie ma.

U stóp And rosną bujne lasy i gęste krzewy. Ludzie leśni zetrą liście na proszek, zapakują przemysłnie i wysła. Przez statek Izraela na Amazon River, z Amazon River na Booth Line, aż skrzynka wylądować w Liverpoolu, a w kilka dni później na europejskim kontynencie. Ucieszą się kokainiści Europy, że raz zjawilo się tak wiele białego proszku. Ale to rzeczy tylko nawiasem, o których Sharp ani Massey nie wiedzą — oficjalnie.

Trzeci anglik (a właściwie irlandczyk, lecz uchodzący za anglika) Patrick O'Connor nie ma parowców ani pieniędzy i często się upija. Upija się zdrowo i z awanturami. Mieszkańcy Iquitos kochają go i gdy znajdują go nad ranem leżącego nie przytomnie na ulicy, podnoszą i pieczołowicie odstawiają do domu. Kochają go, bo jest anglikiem, który pije, śpiewa miłosne piosenki i roztacza dookoła siebie urok romantyzmu.

Jego życiorys: ma 47 lat, urodził się na skale gibraltarskiej, ojciec lekarzem w wojsku angielskim. Seminarium duchowne, ucieka. Szkoły średnie w Anglii ukończone. Klótnia z ojcem, pięć lat w Legii Cudzoziemskiej. Paryż, Sorbona, fakultet filozoficzny. La Scala w Mediolanie, nauka śpiewu. Aktorem i śpiewakiem w teatrach we Włoszech i Anglii. Wielka wojna w rowach. Sierżantem: nie chciał zostać oficerem, bo nie mógłby tak bardzo pić. Po wojnie głąb Afryki, handel z czarnymi, żółta febra, urlop. Tłumaczem u Cooka w Londynie. Półroczna bajka śródziemnomorska na jachcie bogatego jankesa. Wiele zarabia pieniędzy, wszystko przepija w miesiącu. Indie, Singapur, dziennikarzem w Londynie, karmicielem piesków u starszej pani. Podróż jako oficer marynarki na żaglowcu dookoła przylądka Horn do Alaski. A potem lądować ten niespokojny duch w Iquitos, w głębi kontynentu południowo-amerykańskiego.

Władza świetnie, oprócz angielskiego, językami: hiszpańskim, francuskim, włoskim, kilkoma narzeczami murzyńskimi, a w niespokojne, gorące noce miewa sny po berberyjsku. Pije jak wół, lecz po wyspaniu się ma umysł nadzwyczaj bystry i zdolną miewającą inteligencję. Posiada dużo rzeczowych wiadomości, wiele czyta książek, zna na wskroś historię Południowej Ameryki. W czasie mej bytności w Iquitos zarabiał na picie lekcjami języka angielskiego, tłumaczeniem fachowych dzieł wojskowych na hiszpański, zakładaniem ksiąg handlowych u chińskich kupców i uczeniem oficerów peruwiańskich fechtunku, a marynarzy boksu. Przepada za nim, rzecz prosta, całe Iquitos i rzecz prosta, nie lubi go mr. Massey, angielski konsul.

Poznałem wszystkich trzech anglików. Pierwsi dwaj, Massey i Sharp, uznali, że jestem dzentelmenem i że należy mnie popierać: tym samym wygrałem wielką stawkę i dobrze powodzi mi się w Peru. Z konsulem Masseyem wymieniamy przyjacielskie, drobne prezenty i grzecznościowe wizytówki, mr. Sharp załatwia moje sprawy finansowe, — ale z Patrickem O'Connorem, wspaniałym pijakiem, zawarłem serdeczną przyjaźń.

Mieszkać z nim pod jednym dachem w domu sympatycznych rodaków Tadeuszostwa Wiktorów. O'Connor, wcielony uczynności, spełnia wszystkie moje życzenia, tłumaczy mi artykuły do tutejszych czasopism, elaboraty do rządu peruwiańskiego i zapoznaje mnie — biegły i na tym polu — z ciekawym folklorem iquitoskim.

Wieczorem pewnej soboty idziemy na przedmieście Belen, gdzie Indianie mieszkają w drewnianych domach na wysokiach palach. Wstępujemy do jakiejś sali balowej, ozdobionej palmowymi liśćmi i zapchanej dosłownie tańczącymi marynarzami i dziewczynami. W dusznym powietrzu zgiełk, hałaśliwa muzyka i zapach potu, atmosfera wezbranej indiańskiej namietności. Najniefortuniejsi z peruwiańskich marynarzy, marynarze rzeczony floty wojennej, tańczą, trzymając swe dziewczyny w sukateskach ramionach. O'Connor trąca mnie i pyta:

— Która z dziewczyn podoba ci się najbardziej?

Jest taka, która mi się najbardziej podoba, wskazuję na nią. Po tańcu O'Connor przystępuje do marynarza, klepie go po ramieniu, coś szepcze. Marynarz przeczy i oburza się, O'Connor uśmiecha go, ścisła mu rękę w przegubie i wytacza jakieś ważne argumenty. Po chwili wracają do mnie obydwaj w najlepszej zgodzie, a w środku prowadzą dziewczynę.

— Chciałeś folklor, masz go! — powiada O'Connor, śmiejąc się. — Marynarz odstępuje ci na dziś dziewczynę: tańcz i całuj.

Mr. Massey i mr. Sharp mają w swych rękach Amazonkę i jej dopływy. O'Connor ma marynarza, z którym zawiera przyjaźń. O'Connor pije i spóźnionym iquitoskim parkom miłosny śpiewa po nocy francuskie piosenki.

ANGAŻA KOLUMNĄ MŁODYCH

Witold Massan

na marginesie naszych olimpiad

Jesteśmy w przedzie dnia IV Święta Sportu Polskiego na terenie Łotwy. W związku z tym należy poruszyć kilka kwestyj, mających ścisły związek z organizacją Święta.

Dotychczas, na poprzednich trzech naszych „olimpiadach”, poczyniliśmy pewne obserwacje, które zmuszają do zabrania głosu.

Sport polski w Łotwie jest młodym, nieomal znajduje się jeszcze w powijakach. Pamiętamy wszyscy tę niedaleką przeszłość, gdy o sporcie naszym było zupełnie głucho. Jeśli się coś robiło, to gdzieś w ciemnym kącie: skromnie, pocichu, nieomal że pokryjomu.

Były to pierwsze próby naszej młodzieży, która własnymi siłami tworzyła możliwości uprawiania kultury fizycznej.

Początek, jak zawsze, najeżony był przeszkodami i sporo czasu minęło zanim starsze społeczeństwo zrozumiało potrzebę istnienia organizacji, wpajających w swych członków zamiłowanie do sportu.

Często gęsto jeszcze obecnie dochodzą nas niewyraźne odgłosy niezadowolonia starszych, którzy, tkwiąc w zaskorupiałym konserwatyzmie a nie rozumiejąc ducha organizacji sportowych — zarzucają tym organizacjom krzewienie barbarzyństwa, bezmyślności oraz tępoty.

Na szczęście — jest to zjawisko skazane na szybki zgon.

Wkrótce już nastąpi okres, w którym napewno nie usłyszymy żadnego bezsensownego zarzutu, stwierdzającego bezapelacyjnie, że sportowcy to są bóstwa tłumu — ale, niestety, bóstwa efemeryczne. Napewno wszyscy, znający się na sporcie, potrafią sobie uświadomić, jaki ogromny błąd czynią ci, którzy chcą zniszczyć w rzeczach młodzieży sportowo nastrojonej ducha walki, ducha szlachetnego współzawodnictwa.

Nie miejsce rozwodzić się tutaj nad znaczeniem rekordów, nad walką, prowadzoną dla ustalenia nowych wyników.

Jedno tylko podkreślę, a mianowicie: bez zawodów, bez rekordów — nie byłoby sportu i kultury fizycznej.

Wracając do omawiania naszego lokalnego sportu, musimy sięgnąć w przeszłość.

Nie ulega wątpliwości, że rozwój naszych organizacji sportowych szedł drogą zbyt niedogodną i w warunkach mało sprzyjających.

Wyniki są jednak lepsze, niżby tego można byłoby się spodziewać.

Nie powinno to jednak nas uspokoić: im więcej energii i szczerych chęci dołożymy do sprawy organizacji naszego sportu, tym lepsze będą wyniki.

To, co dotychczas zrobiliśmy, było zakrojone na skalę naszego społeczeństwa.

Skala ta jest zbyt wąska, gdyż ambicje nasze sięgają dalej.

Uczynimy wszystko, by zasięg naszej działalności na tym odcinku poszerzyć: powinniśmy wciągnąć naszą niezorganizowaną młodzież lub taką, która należy do obcych klubów, w sferę wpływów polskiego sportu na terenie Łotwy.

Jakimi środkami potrafimy tego dokonać?

Święto Sportu należy do jednego z tych środków, które posłużą za magnes przyciągający.

Ale... (niestety, zawsze i wszędzie spotkamy się z tym małym — ale) wówczas tylko będzie spełniało ono swe zadanie, jeśli zechcemy zwrócić większą uwagę na przemyślenie wszystkich jego szczegółów oraz na lepszą organizację zawodów.

To, co mogliśmy zaobserwować w Rydze, Daugawpilsie i w Rezekne, nie zawsze zaspakajało nasze wymagania.

Smutna historia z sędziami, którzy ani znali się na swoich obowiązkach, ani byli odpowiednio przygotowani do pełnienia najważniejszej funkcji w zawodach, przesładuje niejednego sportowca.

Miejmy nadzieję, że, nauczeni doświadczeniami, unikniemy w obecnym święcie tego wszystkiego, co wywołać może w widzu niechęć lub, co najgłośniejsze, uczucie wstydu. Poza tym jeszcze jedna

Z życia ZPM

Wieści z Krasławia

FILIA KRASŁAWSKA ZPM MISTRZEM KRASŁAWIA W SIATKÓWCE. 12. i 13. b. m. w Krasławiu z inicjatywy kierownictwa kolonii letniej dla młodzieży gimnazjalnej z Rygi, mieszczącej się w gmachu gimn. państwowego w Krasławiu, odbyły się m. in. zawody siatkówki. Udział brały następujące zespoły: Kolonia A (czołowy zespół gimnazjów ryskich), Kolonia B, gimnazjum państw. w Krasławiu, zespół m. Krasławia oraz filii Krasławskiej ZPM. Z powodu ograniczonego czasu zawody były prowadzone systemem jednoniśusowym. Wyniki zawodów:

Półfinały: 1. Kolonia B — gimn. Krasławskie: 2:1. 2. Kolonia B — m. Krasławia 2:0. 3. Kolonia A. — filia Krasł. ZPM 1:2 (18:16; 7:15; 14:16).

Do finału weszły Kolonia B i filia Krasł. ZPM: wygrał ZPM z wynikiem: 2:0 (7:15; 9:15).

Sędziował p. E. Zwirbulis — członek kolonii. Należy zaznaczyć, iż ZPM z powodu ograniczonego czasu rozegrało wszystkie spotkania w jednym dniu, prawie nie schodząc z placu.

W sobotę 14. b. m. z racji zamknięcia kolonii na sali gimn. państw. w Krasławiu odbył się uroczysty akt, połączony z rozdaniem nagród zwycięzcom zawodów oraz poszczególnym członkom kolonii. ZPM, jako zwycięzca turnieju w siatkówce, wręczono jako pierwszą nagrodę proporczyk o barwach państwowych, ufundowany przez „Latv. Tub. Apk. B-bas”, co wywołało żywy aplauz licznie zgromadzonej publiczności i członków kolonii, tym więcej, że, jak zaznaczył w swym przemówieniu kierownik kolonii, „porażka tak silnego zespołu jak Kolonia A z Rygi, była wielką niespodzianką, ała wygrana ZPM jest w pełni zasłużona!”

W uzupełnieniu powyższego należy nadmienić, iż w niedzielę 16. b. m. na boisku gimn. państw. w

kwestia, nader nieprzyjemna, wymaga częściowego oświetlenia. W kilku słowach, powierzchownie, nie wnikając w szczegóły, chciałbym poruszyć sprawę zachowania się sportowego i koleżeńkiego sportowców.

Na wszystkich zawodach uczestnicy, kierują się jedną zasadą, uświęconą przez tradycję i poczucie przyzwoitości wobec przeciwników, z którymi toczy się walkę na boisku. Zasada ta głosi: —

— Na boisku jesteś moim przeciwnikiem — muszę cię zwyciężyć. Poza boiskiem jesteśmy przyjaciółmi. —

Zechciejmy trzymać się tej zasady, a napewno nie zajdzie potrzeba osobistych porachunków poza areną szlachetnych walk.

Na karb niewychowania i „podniecenia” zwalaliśmy niejednokrotnie wykroczenia, które były powodem oburzenia szerszej publiczności.

Napewno więcej się nie powtórzy, bo ponowny wybuch namiętności zamąciłby porozumienie i harmonię koleżeńskich stosunków.

Z niecierpliwością czekamy na IV Święto, ponieważ przekonana nas ono o ile posunęliśmy się w swojej pracy.

Oby wyniki były godne pracy organizatorów, a praca organizatorów oby ułatwiła osiągnięcie lepszych rezultatów.

Krasławiu filia Krasławska ZPM rozegrała spotkanie towarzyskie w siatkówce z „Diskiem” z Daugawpilsu, wygrywając w stosunku 2:0 (3:15; 11:15). Należy życzyć młodym „mistrzom” Krasławia, aby jednak nie spoczęli na ostatnio zdobytych laurach, ale wytrwała a systematyczna praca szli na przód, sięgając po wciąż nowe zdobycze. Wski.

Na marginesie

Co to? Gdzie to?

Wchodzę. Pustki. Na stole moc gazet i czasopism. Biorę do ręki i zaczynam czytać. Za drzwiami słychać tupot. Po chwili drzwi otwierają się z trzaskiem. Słyszę zakończenie rozmowy, prowadzonej w języku rosyjskim. Coś mniej więcej w takim sensie: „idź do diabła”. Potem wchodzi reszta towarzystwa — głośno, zamaszycie. Rozlega się głośne przesuwanie krzesel, szurganie nóg; ktoś gwizdże. Po pewnym czasie następuje względna cisza. Część ogląda obrazki w tygodnikach, część gwarzy („Mówię ci, bycza kobita”), a reszta, wcale nie mała, siedzi pod ścianami i obserwuje.

— Gdzie to? Co to za towarzystwo? POCO przyszło?

To w lokalu świetlicowym jednej z naszych organizacji w ośrodku miejskim o porze wieczorowej. Gości — członkowie tejże organizacji, a sprowadził ich pod dach ulewny deszcz, którego, muszę ze wstydem wyznać, wcale nie zauważyłem, czytając gazety.

Oto obrazek z natury. Jakie z niego wnioski? No, to zależy poniekąd od punktu widzenia.

Sądzę, że w tej organizacji młodzież jest żywa, śmiała, usposobiona wesoło, no i... zna obce języki. A Państwo co sądzicie? (iz)

Zofia Kossak

Jamboree w Holandii



Królowa holenderska Wilhelmina otwiera piąty wszechświatowy zlot skautów w Holandii. Obok — lord Baden-Powell

Skoro wszystkie holenderskie drogi, drożyny i dróżki, biegnące kręto pośród zieleni, pełne są ludzi zdążających na Jamboree, skoro ten wielki zlot skautowy jest chwilowo najważniejszym zdarzeniem dla całej Holandii, — sądzę, że nie będzie od rzeczy rozpocząć opis wrażeń holenderskich od Jamboree właśnie. Nie każdy interesuje się skautingiem, lecz nikomu chyba nie jest obojętne co myśli i jak się ustosunkowuje do życia pięć milionowa rzesza młodzieży, kadry jutrzejszego świata.

Międzynarodowe Jamboree (wyraz indyjski, określający przyjacielski zlot) odprawiane bywa co cztery lata. Ostatnie miało miejsce w 1933 r. i na Węgrzech pod Budapesztem. Uczestnikom owego zlotu pozostały w żywej pamięci serdeczność przyjęcia, nieporównana gościnność węgierska i przepysznie barwne stroje regionalne, czerwień dojrzalej papryki, zapach melonów i brzoskwiń, i stary lord Baden-Powell, założyciel skautingu, otoczony i czczony i noszony przez „dżemboraków“, jak żywa relikwia, i jego słowa:

„...młodość moja minęła na wojnie, dlatego wiem, że najpiękniejszą rzeczą na świecie jest pokój. Szukajcie przyjaciół! Nie opuście ani jednego dnia bez pozyskania przyjaciela. Szukajcie przyjaciół!...“

I godło zlotu: pędzący biały jeleni, i zadziergnięte przyjacielskie białych ludzi z żółtymi, z czarnymi, czarnych z brązowymi... Nawet te najtrudniejsze: białych z białymi...

Cztery lata minęły niby z bicia trzask i nowe „dżembo“ mrowi się na niderlandzkich błoniach. Jest również liczne jak poprzednie. Dwadzieścia osiem tysięcy chłopców, przedstawicieli owych pięciu milionów rozsiadanych po całym świecie, rozbiło pod Haarlemem swoje namioty. 31 lipca nastąpiło uroczyste otwarcie Jamboree.

I choć nad błoniem w miejsce rozdręganego upałem szafiru wisi chłodne niderlandzkie niebo, chociaż w łożu honorowej, w otoczeniu najwyższych dostojników dworu i korpusu dyplomatycznego, siedzi nie regent węgierski, lecz dobra królowa Wilhelmina, choć w przerwach między obozami nie stoją pomniki byłych cesarzy, jak w Gödöllő, lecz pasą się piękne holenderskie krowy, — wszystko zdaje się zupełnie tak samo, jak przed czterema laty! Nieprzeliczona, różnobarwna wstęga, radosna Liga Narodów.

Jest i stary lord Baden-Powell. Siedzi tuż obok królowej. Posunął się bardzo przez ostatnie lata. Nie człowiek, ale cień człowieka. Po środku błonia, pod lasem sztandarów, ustawieni w literę V ku czci królowej, czekają skauci miejscowi. Jest ich ogółem czterdzieści tysięcy, a tu przybyła połowa tej liczby. Ziechali na chybkich rowerach ze wszyst-

kich stron kraju, by defilować przed swoją władczynią. I rozpoczyna się olbrzymi, parogodzinny pochód w porządku alfabetycznym według pisowni angielskiej.

Więc licznie reprezentowana świetnie wyglądająca Ameryka pod kierownictwem swych gwiazd chorażwianych z grupą Indian, uszminowanych na miedziano, wspólnych w przepychu orlich piór, fartuszków i naszyjników. Skalpów u pasa nie mają. (Słusznie! Czyż sama ta odzież, w którą odziewa się chętnie młodzież anglosaska, nie jest skalpem wybitych plemion?)

Za Ameryką — nieliczna Armenia, Belgia w dwóch organizacjach: katolickiej i bezwyznaniowej, Chiny, Dania, Egipt w czerwonych fezach, Wielka Brytania przybyła w liczbie ośmiu tysięcy, Estonia, Finlandia, Francja...

Francuski skauting dzieli się na trzy formacje: katolicką (najliczniejszą), protestancką i bezwyznaniową. Maszerują razem, lecz dla odróżnienia noszą na laskach wielkie, trojaki kwiaty: niebieskie chabry, białe grzybieniec i purpurowe maki. Kolejność, zwartą ławą następującą po sobie szafir, biel i czerwien kładą nad głowami idących żywy, narodowy sztandar.

I tak dalej i dalej, państwo za państwem, naród za narodem, kroczą nieprzerwanie przy dźwiękach orkiestry grzmiącej z megafonów. W oczach się mieni od korowodu sztandarów wijącego się wieńcem na ciemnej zieleni. Grecja, Węgry, Iran, Japonia, Litwa, Meksyk, Norwegia, Austria...

Megafony milkną nagle. Z dala brzmi Pierwsza Brygada. To nasi idą ze swoją własną harcnerską orkiestrą. Sprawnie, niby na rewii, muzyka zawraca, staje przed królową, tętni dźwiękami, porywa temperamentem. Pięknie maszerują. Aż chłodna, mało ekspansywna publiczność holenderska, zapelniająca olbrzymie trybuny, pomrukuje z uznaniem.

Za Polską — Rumunia, Syria, Siam, Czechosłowacja, Islandia, Szwecja, Szwajcaria... Przy organizacjach katolickich kroczą gęsto kapelani. Polscy i węgierscy odziani są po harcnersku, pozostali zachowują swe długie czarne sutanny, kładące mocny akcent na barwnym tle defilady.

I tak dalej i dalej. Zależnie od usposobienia danego narodu, jedne drużyny kroczą szybko, sprawnie, inne zwolna, ociężale. Publiczność z niegasnącym zainteresowaniem śledzi niezwykle widowisko, oklaskuje tych lub owych, prawdziwym zaś entuzjazmem wybuchają na widok Luksemburga, do niedawna stanowiącego jedno z Holandii, i swoich własnych kolonii.

Indie holenderskie! Bogactwo kraju. Dzięki tym ludom czarnym i żółtym śliczne domki przegładające się w kanałach, otoczone kwiatami, pełne są spokojnej zamożności i bez troski.

Jeżeli jednak publiczność zachowuje się spokojnie, na trybunie prasowej aż drży od różnorodnych pogwarek. Są tu przedstawiciele wszystkich nacji, biorących udział w defiladzie. Podobne pogawarki zowią się w sejmie rozuowami „kuluarowymi“. Tu wprowadzie kuluary obozu stanowią pastwiska okupowane przez krowy, niemniej posłuchać warto.

— Ależ Anglików zjechało! Przygnietli całe Jamboree!

— Nie mówcie: Anglicy!... To Wielka Brytania — gniewa się Szkot. Ma siwe włosy, spódniczkę klanu, dwie piękne skórzane torby. Zna naszą młodzież z poprzednich zlotów, lubi ją i spotkawszy mówi jednym tchem: Czuj, dobraneo, dzień dobry, dziękuje.

— Wielka Brytania, — powtarza z naciskiem. — Anglicy to tylko jej część.

— Będziemy pamiętać.

— To dobrze. Pięknieście szli. Widziałem jak królowa obróciła się do waszego postu z uśmiechem gratulującym... Bardzo dobrze...

— Za naćto wojskowo, — rektyfikuje z niechęcią jego kolega, Anglik.

— O nie, — broni Szkot przyjaciół. — Oni szli doskonałym, sportowym krokiem. Weerzy maszerowali po wojskowemu...

1)

— Węgrzy! Nie mówmy o nich! To nie była harcnerska defilada! To był „parade-marsz!“ Węgrzy, to zupełni militaryści... Wy, Polacy, coprawda też, tylko się maskujecie... Wasze obozy mają charakter wojskowy...

— Czy dlatego, że jest w nich większy porządek niż w innych obozach?

— Och, wiecie, to się nie da określić... To ta atmosfera militarna... Wyróżniacie się... Upieracie się przy swoich rogatywkach, zamiast nosić kapelusze jak wszyscy...

— Szkoci noszą spódniczki, Irlandczycy zielone berety, Indusi zawoje, i to was nie razi, tylko nasze czapki?

Przeciwnik milknie, nie znajdując narazie odpowiedzi. Szkot (kto wie, czy nie zamaskowany militarysta), uśmiecha się, pykając z fajki, lecz atak się wznowia.

— Mniejsza o czapki, ale dlaczego salutując przykładacie do czoła tylko dwa palce?

— Bo ślubujemy służyć Tym dwom: Bogu i Ojczyźnie.

— Nam mówiono, że to wasz ukłon wojskowy?

— Nasze wojsko ma ten sam ukłon, bo także służy Bogu i Ojczyźnie.

— Patrzcie na Szwedów — przerywa ktoś z boku — prowadzi ich następca tronu, książę Gustaw Adolf...

— To podobno tęgi skaut...

— Be-Pe*) uśmiecha się do niego. Powiadają, że chce go zrobić w przyszłości swoim następcą...

— Eh? Gdy Be-Pe umrze, nie będzie pewnie Naczelnego Skauta świata...

— Dlaczego?!

— Tak mi się zdaje...

— Czyście słyszeli co mówią Scouts de France? Że przyszli zdobyć kilka tysięcy wyznawców dla Chrystusa?

— Co za fanatyzm!

— Armeńczycy... Widzieliście tę małą grupkę Armeńczyków? Twierdzą, że są przyszłymi kadrami zmartwychwstającej Armenii.

— Olala! Za dużo tej religijności, tych narodowości... Na Konferencji przeciwstawimy się temu stanowczo...

— Nie powstrzymacie! Skaut nie może być skrajnym nacjonalistą, ale musi być człowiekiem wierzącym, doskonałym patriotą, i kochać swoje tradycje...

— Ja nieraz się zastanawiam, — wtrąca z rozumą Duńczyk, — czy nie było by jednak lepiej zezwolić na unarodowienie skautingu? Ruch nasz zyskałby wielu, przy tym przykro widzieć młodzież włoską, niemiecką stojącą z dala od nas...

Spotyka karcący wzrok Anglika i kończy z pospiechem:

— Ale po namyśle dochodzę zawsze do przekonania, że nie możemy tego uczynić. Zło stałoby większe niż dobre... Norwegia i Szwecja podzielają moje zdanie...

— A my nie — stwierdza spokojnie Finn. — Każdy chłopiec musi być u nas przygotowany do obrony kraju...

— U nas w Polsce też! Naszego zdania są Estonia, Lotwa, Rumunia też i oczywiście Węgry...

— I Austria. Oni już wprowadzili u siebie pewne ograniczenia.

— I Jugosławia...

Anglik wzrusza niechętnie ramionami i milknie, lecz przeciwnicy przechodzą teraz sami do ofensywy.

— Dlaczego wasi nieśli tablice z napisami Belgia angielska, Chiny angielskie i t. p.?

— To były grupy poddanych angielskich, mieszkających w odnośnych krajach.

— Nie boicie się, że to może wywołać wrazenie, jakobyście chcieli zaanektować Belgię, Chiny?...

— Nikt nas o to nie posadzi.

— Jednak dawniej tych grup nie było?

— Dawniej nie było, a teraz są.

— Nie spierajcie się o drobiazgi. Spójrzcie lepiej na Holendrów...

Jakoż Holendrzy dopiero teraz ruszyli przy dźwiękach pieśni skomponowanej specjalnie na Jamboree, zaczynającej się od słów: „...Słuchaj, mówią do ciebie młode Niderlandy“...

Idą powoli, flegmatycznie. Tym samym ciężkim, powolnym krokiem szli niegdyś chłopcy flamandzcy przeciw świetnym pułkom jazdy hiszpańskiej.

— Nieźle maszerują, ale bez temperamentu...

— Nie o to chodzi. Zauważcie, że nie patrzają wcale na trybunę...

— Mało którzy patrzyli na trybunę, prócz Polaków, którzy obrócili głowy na komendę... Umyslnie uważalem...

...Istotnie... Mało którzy... Nie patrzyli na trybunę, nie patrzyli na naczelnego Skauta Świata! Nawet Anglicy, tak kochający swoje Be-Pe! Dzieciaki za dziesiątkami, setki za setkami szły, patrząc przed siebie, w swoje cele, swoje zadania, zapominając o starcu spoglądającym z wysoka, przechodząc mimo. Czy zdał sobie z tego sprawę? Czy doszło go echo rozmów prowadzonych na trybunie? Czy czu-

*) Popularny skrót nazwiska lorda Baden-Powell.

Jest nas pod znakiem skautowym cztery miliony

je, że olbrzymia organizacja, którą stworzył, którą kierował, wyrosła nad niego, przerosła, wymyka mu się z rąk?

Niewiadomo. Jeszcze ostatnie szeregi skautów holenderskich nie przeszły, — gdy skupione w głąb placu masy ruszają w przód we wściekłym pędzie, niby do ataku. Wrażenie jest tak potężne, że publiczność na trybunach powstaje jak jeden mąż. Całe błonie wypełnia się szczelnym brukiem głów, nad głowami sztandary, proporce, chorągiewki, chustki, kwiaty, uniesione kapelusze. Wrzawa wstrząsa powietrzem. Milknie. Przemawia królowa. Mégafony roznoszą wśród ciżby jej miły głos, uprzejmej pani domu witającej gości. Wciąż znów krzyki. Teraz kolej by Naczelny Skaut Świata przemówił do swoich chłopców.

Wstaje z trudem, zaczyna mówić. Czy to złudzenie, czy też głos jego brzmi jakby z góry zniechęcony? Krótkie zdania padają w przestrzeń bezsilnie.

„...Raduję się, że was widzę tu, w pięknej, dzielnej i mądrej Holandii... Miłujcie pokój. Życie w zgodzie. Twórcie prawdziwą Ligę Narodów...“

— Słabo powiedział — sarka jakiś malkontent z trybuny prasowej.

— Cóż mógł powiedzieć innego? Ciężkie jest to wszystko, co tu gadano i, właściwie, jakie wyjście?

— Et, może to przesada? Ludzie gadają byle gadać... Zresztą, powiem wam: tylko kierownictwo zaprzęta sobie głowę podobnymi sprawami, chłopaki cieszą się, że żyją i o niczym więcej nie myślą...

— Niewiadomo... niewiadomo...

— Mniejsza z tym. Powiedzcie mi, bo dotąd nie wiem, co oznacza godło obecnego Jamboree? Patyk przecięty czterema ramionami...

— To średniowieczny holenderski przyrząd żeglarski, zastępujący niegdyś busolę. Nazywa się Jakobstaff, czyli dosłownie: laska Jakóba...

— Ciekawie!..

O, ciekawe, rzeczywiście! Jak dziwnie prosta i celna bywa symbolika zdarzeń! Złota strzała, żubr, biały jelen, — oto były godła poprzednich Jamboree. Czyli lotność, ekspansja, siła... Innych drogowskazów nie było potrzeba. Lecz oto życie przynosi nowe problemy, kierunek rozwidła się, mąci i trzeba szukać busoli... Dokąd ona zaprowadzi harcerskie Jamboree?

O tym da się wywnioskować po bliższym zapoznaniu z obozem.

Z ŁSCO

97-ma na obozie

Czyż naprawdę już? Dwa tygodnie życia obozowego, pełne przygód, przepłatanych codzienną pracą, wypoczynkami i różnymi niespodziankami, minęły jak sen. Gdy dziś przypomina się poszczególne fragmenty życia obozowego, ma się wrażenie widowiska na ekranie filmowym, gdzie obraz za obrazem mknie w nieuchwytną dal.

Zdaje się, że jeszcze wczoraj panował wielki rwetes w izbie drużyny. Pakowano sprzęt obozowy, zwijano namioty, sprawdzano, by niezego nie zapomnieć. Stare wygi obozowe pewnym głosem rozkazywali tym, którzy może po raz pierwszy wybierali się do obozu harcerskiego. Wreszcie ogólna zbiórka na dworcu. Każdy, obładowany niby dromader libijski, ugiął się pod ciężarem sprzętu obozowego i własnego plecaka, który u niejednego starannie zaopatrzony był przez mamusię.

Nie wiele zostało do odejścia pociągu, a naszego bractwa zebrało się sporo, pakunków i skrzyń cała moc. Wreszcie jedziemy. W drodze ogarnęły wielu z nas „zmartwienia harcerskie”: „miły deszczyk kropił nie na żarty... Po pół godzinie jazdy jesteśmy w Ropaży. Pomimo że niebo zachmurzone i bardziej wygląda na deszcz niż na pogodę, bractwo wesoło ruszyło na miejsce obozu. Ktoś zanucił piosenkę, reszta natychmiast podchwyciła i echo niesło w głąb lasu tradycyjne: „Bracia skauci dość kurzu...”

— Czolo stój! W lewo zwrot! Plecak! zdejmi! — padaly słowa komendy. Krótka narada. Podział pracy i za chwilę zastępy rozpoczęły pierwszy wyścig pracy w ustawianiu namiotów w oznaczonych miejscach. W dotychczasowym zacisznym zakątku, nad jeziorem, zakotłowało zaroilo się, niby w mrowisku.

Po niezwykle smacznej kolacji wszyscy udali się na zasłużony spoczynek, jeno warta czuwała nad snem swych współbraci. Każdego poranka w przeciągu dni następnych do święgotu ptasząt dołączał się donośny dźwięk trąbki, która grała pobudkę, a, jak za uderzeniem czarodziejskiej różdżki, z namiotów wylatywały czajki, orły, wybiegaly jelenie, lisy, rysie i wiewiórki: wszyscy w najlepszej zgodzie rozpoczęli dzień pracy.

Gimnastyka i zimna woda w jeziorze ostatecznie spędzały sen z oczu śpiochów. Po uporządkowaniu namiotów bractwo stawało do modlitwy kolo polowej kapliczki. Następnie w dwuszeregu przed masztem pozdrawiano sztandar, który przy śpiewie hymnu państwowego wznosił się ponad wierzchołki drzew.

CZTERY MILIONY SKAUTÓW NA ŚWIECIE. Z Haarlemu donoszą: Naczelny skaut, lord Baden Powell, udzielił przedstawicielom prasy krótkiego wywiadu. Zaproszeni dziennikarze zebraли się w pałacyku komendy Jamboree. Lord Baden Powell oświadczył, iż cieszy się, że Jamboree odbywa się w Holandii, kraju, mającym za sobą długoletnie tradycje pokojowe. Młodzież winna brać przykład z Holendrów i, w oparciu o szczytne idee skautowe, walczyć o pokój świata. **Skautów jest już 4 miliony na świecie.**

Na pytanie dziennikarza węgierskiego na temat porównania tegorocznego zlotu z Jamboree w Góddöllö na Węgrzech w r. 1933, skaut naczelny odpowiedział, że za charakterystyczną cechą Jamboree węgierskiego uważa fakt, że tam właśnie po raz pierwszy zaprezentowały się **nowe kierunki pracy skautowej, mianowicie Polacy i Węgrzy pokazali swych harcerzy-lotników.**

Do południa czas upływa na ćwiczeniach i harcach. Przed obiadem kąpiel.

Obiad zniknął w żołądkach, jak na zamówienie. Na gwizdek Oboźnego i na zapowiedź — „Cisza bezwzględna” — oboz niby zaniemial. Każdego obowiązywało milczenie, jeno wiewiórki nie mogły do tego się przyzwyczaić, wiecznie musiały coś psocić, a potem mied „odprawę przed namiotem druha komendanta”.

Podczas zajęć popołudniowych oboz przyjmował coraz to nowe oblicze.

Tu budowano spiżarnię, przed namiotami ustawiano totemy i godła poszczególnych zastępów. Przed bramą wejściową stał robot, który wiele usług oddał obozowi. Stał w przeciągu dwóch tygodni uprzejmie zapraszając gości i przechodniów na teren obozu. Najbardziej cieszyli się z tego służbowi, bo robot „odwalał” za nich część roboty.

Gdy zmierzch zapadał i długie cienie zaczynały swój wieczorny spacer, a ostatnie promienie zachodzącego słońca igrały na wierzchołkach drzew, w obozie panował nadzwyczajny ruch.

Bractwo przykryte kocami, upodobnione do mnichów, skupiało się dookoła ogniska, które, rozpalone przez służbowego, wysoko wyciągało czerwone języki ku ciemnemu niebu, a tysiące złotych iskier, niby rój pszczoł, rozsypywało dookoła.

I w ciemną dal płynęły słowa melodycznej piosenki: **Płonie ognisko i szumią knieje Drużynowy jest wśród nas. Opowiada starodawne dzieje,**



Z obozu 97-mej: u góry — kandydaci na sprawność pływaka; u dołu — czy wiara znów nie będzie nam narzekać...?



„Budzik” — obozowy przez wszystkich bardzo „lubiany” zwłaszcza z rana

Bohaterki wskrzesza czas...

Po piosenkach następowaly pokazy, potem znów piosenki, dalej okrzyki uznania na nieznanych narzeczkach, i tak na przemian wszystko to się przeplatało, tworząc wiązanke harmonii leśnej, ognisko, śpiew, wybuchy radosnego i szczerego śmiechu. A dookoła las... noc... cisza.

Wreszcie komenda Oboźnego przerywała wszystko. Wszyscy zwróceni w kierunku masztu salutowali sztandar, który, przy dźwiękach wieczornego hejnału, opuszczano w dół: — dzień pracy i zabawy był skończony.

Skulone postacie, pogrążone w wieczornej wspólnej modlitwie przed krzyżem: Ojciec nasz... Zdrowaś... i Wieczne odpocznienie za tych, co odeszli na wieczną wartę... Obraz M. B. Częstochowskiej na krzyżu, zrobiony z brzozy, lśniący swą białością na tle niemego lasu, góruje nad kornie schylonymi głowami...

Następnie majestatycznie brzmi pieśń „O Panie Boże Ojciec nasz” i na zakończenie hejnał — Idzie noc.

Tak mijał dzień harcerza w obozie. Bywało, że deszczyk lał z góry nie na żarty, a takich dni mieliśmy w przeciągu dwóch tygodni więcej niż się spodziewaliśmy, ale na to też mieliśmy radę, nosów na kwintę nie spuszczałyśmy — schodziliśmy się wtedy do namiotu świetlicowego i zaczynałyśmy śpiewkę: „Nie lej, deszczu, nie lej, bo Cię tu nie trzeba”, co czasami odnosiło pożądany skutek. Mimo wszystko mieliśmy humory świetne, a apetyty jeszcze lepsze. Oboz odwiedził m. in. p. minister F. Charwat z Małżonką. Miłymi gośćmi byli też trzej druhowie z Polski: Olek, Dziunek i Staszek, którzy, zwiedzając Łowę, spędzili wśród nas kilka dni. Jako wspomnienie o ich pobycie wśród nas zostały nowe piosenki, a mianowicie: Polesia czar, Umfa, Kołysanka, świat cały śpi spokojnie, Stary kapral i szereg innych.

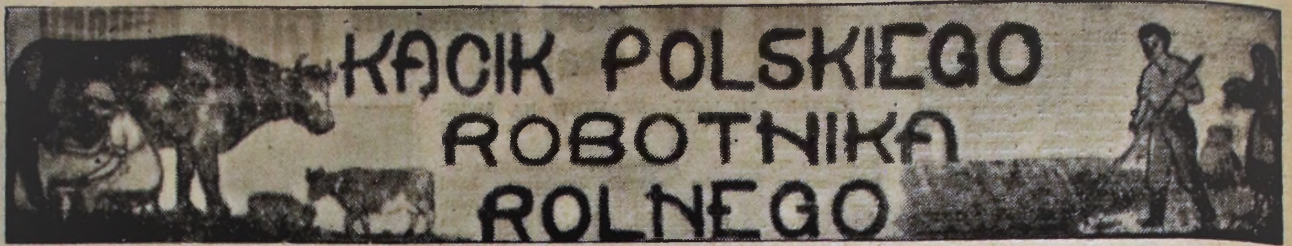
Codziennymi gośćmi byli wśród nas miejscowi mieszkańcy Ropaży, którzy z wielkim zainteresowaniem oglądali urządzenie całego obozu.

Najbardziej przyciągało wszystkich oczywiście wieczorne ognisko.

Dziś wszystkie przygody i prace (obowiązki harcerza i alarmy nocne) żyją we wspomnieniach uczestników, a napewno niejednen z nas śni albo marzy o tym, by przeżyć to jeszcze raz w roku przyszłym.

Wszystkim przyjaciółom harcerstwa, którzy przyczynili się w ten lub w inny sposób do przeprowadzenia obozu 97 drużyny, jak również uczestnikom obozu składam najserdeczniejsze Bóg zapłać.

Czuwaj!
J. Krasowski,
Komendant obozu



Listy... listy...

Jeden z robotników polskich Aleksander Stepuloński zwraca w swym liście uwagę na jeszcze jedną cechę niedobłą w zachowywaniu się naszych robotników. Oto chodzi mianowicie o zachowywanie się na zabawach i innych imprezach tutaj w Łotwie.

— „Dopiero się ponapijają i wtedy czynią bójki, nie ustępując nawet oby-watelowi tutejszym...” pisze A. Stepuloński.

— „Nie po to myśmą tu przyjechali!” Oczywiście, że nie po to! Bo i jak że to z zewnątrz wygląda: już nie tylko między sobą się kłócimy, ale robimy to na oczach wszystkich innych i to — w dodatku — wszystkich obcych.

Szanowna Redakcjo!

Od początku mego przyjazdu na Łotwę, co miało miejsce 12. czerwca b. r., marzyłem o zaprenumerowaniu sobie gazety „Nasze Życie”. Dotąd jednak nie mogłam tego uczynić, gdyż nie miałam pieniędzy. Obecnie jestem w posiadaniu kilku latów, więc śpieszę z prenumeratą. Marzeniem mojem jest także ujrzeć swoje słowa drukowane w gazecie. Dlatego to, wysyłając myśl przez cały tydzień, skleciłam taki wierszyk, który, gdyby się nadal do druku, proszę łaskawie zamieścić. Z góry przepraszam za mój nieuczony styl, który, w miarę potrzeby, proszę poprawić.

ŻYCIE

Życie, podobnie jak Wiślana fala,
Mknie szybko naprzód i prędko ucieka.
Co dziś jest blisko, jutro już z daleka —
A każda chwila dni nasze oddala.
I młody człowiek sam nie zauważy,
Kiedy mu zmarszczki osiadną na twarzy,
A kiedy myślą sięgnie ku przeszłości,
Zda mu się bierze księgę przeczytaną,
Dobrze odczuta pilnie przemysłna.
W której nie brakło smutku ni radości.
I żył tam były, krew serdeczna duszy,
I to co cieszy i serce porusza.
Przyszłość, to biała karta nie pisana,
Na której życie kreśli swoje znaki.
Jeden znak czarny, drugi jasny taki,
Treść zaś przyszłości nikomu nie znana.
I niki odgadnąć ni odczuć nie może,
Jakie to będą te wyroki Boże.
Jak sen przemija, jak motyl ulata,
Jak liść opada, wiedeń nie usycha,
Jak woda nikt nie z pełnego kielicha,
Jak mija piękny pogodny czar lata,
Jak ogień gaśnie — tak człowiek odchodzi
Człowiek umiera, a życie wciąż bieży
I ciągle naprzód, naprzód bez ustanku.
Wciąż noc zapada po świetle poranku,
Wyrasta bujnie i wiedeń kwiat świeży,
Co dawniej sławne, dzisiaj już to minie,
Co dziś jest nowe — jutro już przeminie.
Na miejsce starych, co u grobu brzegu,

Młode zastępy na placówce staną,
Żyjąc, ci nowi niedługo zostaną,
Bo ich znów inni wytrąca z szeregu,
A na ruinach znów o każdej wiosnie
Na nowo życie znów bujnie wyrośnie.
Bo ciągle, wszędzie, przejawia się życie —
Na grobach rosną krzewy, chwasty,

krzaki,
Tam się ukrywa robak lada jaki,
Co się przemyka pod kamieniem skrycie,
Lęgnie się w ziemi zimnej czarnym
zlepie
I począł istnieć gdzieś w martwym
czerepie.

W poszumie lasu, w liści rozhoworze,
W szumie strumyka i w kwiatu
rozkwicie —
Wciąż nieprzerwanie odradza się życie,
Tysiące stworzeń kryje w sobie morze,
W tysiące istnień ziemia się ubiera —
Człowiek odchodzi, życie nie zamiera.

Nadesłała
Janina Miśkiewicz
Polska robotnica rolna w Łotwie

Lech Pietrzak

Żywica pachnie wspomnieniem

Schowal Kacpura do kieszeni garść miedziaków i odsapnął. Otarł rękawem twarz zwilgłą od potu, rozprostował jeszcze raz krzyż, podsunął kilka drzewek do sterły...

Gdy tak stał wyprostowany i spoglądał na swoją robotę — z ramion spływało mu zmęczenie i osiadło w końcach palców. Potarł je, strzepnął... Ale — zmęczenie nie błoto — nie odprysnie. Naprzekór — zaciążyło jeszcze bardziej, szpileczkami skaczącej krwi pod paznokciami.

Postąpił Kacpura krok, aby na stercie zrabanego drzewa usiąść, postąpił drugi krok i zafrasował się: — nogi ledwo dźwiga. Cięższe są od kłoców i do ziemi ciągną...

Przysiadł na stercie drzewa i rozejrzał się. Leżały drzewa porąbane wprawna ręka, czerwieliły się smolne sęki. Szedł od nich mocny, słodkawy zapach żywicy. Wciągnął Kacpura ten zapach głęboko, do płuc. Przymknął oczy. Zapachniały mu dREWKA lasem i przywołały przed oczy wspomnienia.

Zaniósł go te wspomnienia daleko: w lasy — okiem nieogarnięte. Szumiały one jak morze, przez które do nich płynął. Pachniały, jako teraz sterta drzewa, żywica — zapachem dzisiaj obcym, ale wtedy — swoim, rodzinnym, nie dającym zagłuszyć tęsknoty, co ciągnęła Kacpurę z Ameryki do swoich.

Szanowna Redakcjo!

Serdecznie dziękuję za stałe wysyłanie nam „N. Ż.”, z którego czerpiemy tyle wiadomości z różnych stron świata i z naszej ukochanej Ojczyzny. Nas jest tutaj 3 robotników i 6 robotnic. Każdą sobotę czekamy na gazetkę i dzielimy się wiadomościami. Z wielkim zainteresowaniem czytamy też wiersze, zwłaszcza Józefa Ankudowicza. On to nas skłonił do zaprenumerowania tej zaszczytnej gazetki „N. Ż.”. Ten wiersz jego poprzedni robotnicy przyjęli z entuzjazmem, a życzeniem naszym jest prosić Szanowną Redakcję umieszczać w „Kaciku” więcej jego utworów, a przede wszystkim pragnęlibyśmy go poznać przynajmniej na fotografii. Ciekawi jesteśmy go poznać. Biznia Bronisław

Zamieścimy fotografię Ankudowicza w najbliższym czasie.

Stary Bartłomiej

Rabął tam lasy przez lat piętnaście. Pachniały mu one zawsze swojszczyzną szarpały za serce wspomnieniem i — Kacpura nie dał sobie z tym rady. Wziął.

Dużo lat od tego czasu przeszło. Rósł norakich. Przeleciały dobre przepiękne niemrawo kiepskie.

Siedzi oto teraz na stercie zrabanego przez się drzewa, czuje w kieszeni garść miedziaków, a w końcach palców mordującą robotę.

Nagle otworzył oczy. Obok niego czyjeś splekane, sekatę ręce zgarniają drwa wybierają co smolniejsze, co bardziej pachnące żywicą.

— Pachną dREWKA... — ozwał się Kacpura.

— A pachną... będą się palić, jak sam ogień.

Splekane ręce ogarnęły wiązkę drzewa i uniosły ją pod zwisłą białą brodę Ciepłoma ZUSMANA.

— Przyjdźcie jeszcze jutro... drzew nam trza... na szabas.

Kacpura zadart głowę, obleciał wzrokiem niebo. Pokręcił głową:

— Na żniwa teraz idę... z kosą.

Żyd zdziwił się:

— To wy macie swoje pole?... Własne

— cmoknął bladymi wargami — gospodarz...

Kacpura zatoczył ręką:
— To wszystko moje. I pola i lasy...



SPRAWY GOSPODARCZE



Wyka ozima

Do roślin motylkowych o względnie dużej zimotrwałości zaliczamy ozimą wyckę kosmatą piaskową. Zimotrwałość jej jest większa, jeżeli zasiejemy wyckę piaskową ozimą w drugiej połowie sierpnia (w cieplejszych okolicach z początkiem września).

Wycka piaskowa rozwija się początkowo słabo. Skoro jednak ocieni ziemię i zacznie kwitnąć, — następuje rozwój bujny, powodujący silne wyleganie, wskutek którego rośliny łatwo od spodu więdną i gniją. Dla uniknięcia strat, powodowanych silnym wyleganiem, nie siejemy wycki ozimej w siewie czystym, tylko jako przymieszkę do innych roślin.

WYKA NA ZIARNO

O ile chcemy wyhodować ziarno siewne wycki ozimej, to domieszka jej do żyta, normalnie wysiewanego jesienią, wynosi 16 a najwięcej 20 kg. na ha; przekroczywszy tę normę, ryzykujemy zbyt bujny rozwój wycki jak i żyta, a tym samym niskie sprężyt ziarna zarówno wycki jak i żyta. Stąd też przed siewem jesienią należy raz jeszcze przypomnieć, że domieszka około 16 kg. wycki do normalnego wysiewu żyta dać może do 4 kwintali na ha ziarna wycki plus nor-

malny sprzęt ziarna żyta. Zwiększanie dodatku wycki, przy uprawie na ziarno, mija się więc z celem.

Domieszka wycki do żyta powiększa wartość pastewną szezki (mokra sprężytnej słomy bydło nie chce jeść) i powiększa także wartość przedplonową. Ziarno wycki wyodrębnić można z żyta za pomocą tryjera - żmijki.

MIESZANKI WYKI NA ZIELONĄ PASZĘ

Najwięcej znaną wśród rolników normą jest mieszanka 80 do 120 kg. na ha wycki ozimej plus 50 do 60 kg. na ha żyta, wysiana z końcem sierpnia, lub początkiem września.

W maju, skoro wyka rozpocznie kwitnąć, ścinamy mieszankę na zieloną paszę. Wycka zachowuje smakowość do początków czerwca, natomiast żyta bydło po tygodniu już jeść nie chce; nadmiar mieszanki ścinamy więc na siano i suszymy o ile możności w cienkich warstwach na rusztowaniach.

Nie chcąc mieć strat na paszy wyrzucającej pod nogi, można sobie np. podzielić obsiew paszy na 1 krowę w sposób następujący:

I-szy. 2 ary żyta czystego, skarmionego przed wykłoszeniem; wysiew 200 kg. na ha.

II-gi. 3 do 4 arów żyta z wyką; wysiew 50—60 kg. na ha żyta plus 40 do 60 kg. na ha wycki.

III-ci. 5 do 7 arów wycki ozimej (100 kg. na ha) z dodatkiem 100 kg. na ha pszenicy, która znacznie dłużej pozostaje miękką i smaczną.

Tak rozgrupowana mieszanka pozwala na wykorzystanie paszy przez dłuższy przeciąg czasu (np. od końca kwietnia do połowy czerwca). Skosiwszy ewentualnie nadmiar zielonki na ano, możemy ściernisko spulchnić kultywatorem sprężynowym i podorać oraz uprawić na brukiew, rzepę, mieszankę jarzą na paszę, późne ziemniaki itp. Ze względu na potrzebę zgromadzenia w glebie zasobu składników nawozowych zarówno dla wyki ozimej, jak i dla poplonów, zaleca się dawać jesienią pod wykę dawkę obornika (pełną lub choćby pół), a gdzie tego potrzeba — nawóz pomocniczy np. 200 do 500 kg. na ha 20 proc. soli potasowej. Powyższy sposób daje nam możliwość zebrania jeszcze drugiego sprzętu w tym samym roku, a tym samym obniża znacznie koszt utrzymania inwentarza.

zaśmiał się — takie samo moje, jak i wróble. Dyć człek, jak wróbel żyje. Wiadomo — bezrolny. Kosą idę zarobić.

Wstał. Poszedł do chałupy, gdzie mieszkał na komornym, wyciągnął kosę spod strzechy i ją klepał starannie, raz koło raz, pukać młotkiem w pałkowate ostrze. Brzęczała kosa jak rój trzmieli, chrzęściła szelestem ścinanych kłosów. Kacpura klepał akuratanie, raz koło raz...

Stanął potem z kosą na ramieniu i zadarł głowę. Pogonił wzrokiem po baniastych pękających chmurach, zmrużył oczy od blasku lipcowego słońca... Uradowało się Kacpurze serce. Ze słońcem szedł czas żniw, czas zarobku.

Gdy rozglądał się po dojrzałych polach żytnianych, od strony gminy zaburczał bęben.

Bił w niego Kowalik, woźny gminy. Coraz unosił obie ręce w górę i kiedy echo jeszcze trzęsło się w liściach i gałęziach — Kowalik przechylał głowę do tyłu i wołał:

— Ludzie!!! Rekrutacja na roboty do Niemiec! Tylko bezrolni!!!

Opuścił Kowalik ręce i pałeczki znowu tłukły kozią skórę, a echo w liściach i gałęziach grzmiało jeszcze mocniej.

— Za trzy dni wyjazd!! Tylko bezrolni!!!

Znowu zaburczał bęben. Ludzie wybiegli z chałup, zza opłotków.

Otoczono Kowalika ciasnym kołem. Bęben ciągle burczał, burzył południową

ciszę. Spłoszone kury gdakały rozgłosnie, psy rwały się z łańcuchów.

— Rekrutacja do Niemiec na roboty rolne!!

Kacpura przepchnął się przez tłum. Naparł na Kowalika:

— U kogo trza się zapisować? Hę?

Woźny oderwał pałeczki od koziej skóry. Przechylił do tyłu głowę, wołał:

— ...Za trzy dni wyjazd!! Zapisywać się w gmnie!! Dokumenty mieć ze sobą!!

Kilku chłopów wyleciało z kręgu koła. Kopnęli się do chałup szukać za przypieczkiem dokumentów. Baby oddaliły się pod opłotki, ręce wparły ciasno pod cycki i jazgotały piskliwie. Dzieciska płały się pod nogami.

Kacpura stał i chwycił ustami powietrze. Usłyszana nowina ścisnęła go za grdykę i nie dawała oddechu złapać. Świszczał dech przez dziurawe zęby Kacpury, rozpierał zębra... W uszach huczał mu bęben, rwał myśli w głowie.

Widział już siebie Kacpura z kosą na niemieckiej stronie. Stał rozparty w nogach i co machnie kosą, to z kłosów sypią się fenigi zamiast ziarna... Macha kosą Kacpura, zagarnia jak najwięcej, aby jak najgęściej sypały się fenigi — zarobek.

Woźny gminy wołał:

— Fotografije z sobą mieć!! Metrykę wyciągnąć!!

Coraz częściej któryś z tłumu cofał się, rozpierał się łokciami, potracał dzieciska i leciał do chałupy.

Ruszył się i Kacpura. Szedł chyżo do swojej komórki, spieszył się, aby przed innymi na czas zdążyć i dokumenty przynieść.

Wysperzał w kieszeni miedziaki zarobione u Chaima Zusmana. Przeliczył. Mało... Mało i na metrykę i na fotografię i na zaświadczenie z posterunku...

Sięgnął więc z haka po swój zimowy paltot i poszedł do Zusmana.

— Kupcie paltot... Niedrogo.

Chaim pocesał sękatymi palcami białą brodę, wywrócił paltot podszewką na wierzach, wyskubał kilka nitok...

Z wywróconym na nicę paltem szedł do słońca, aby lepiej widzieć. Zatrzymał się przy kupie zrąbanego drzewa. Wraził sękaty palec w brodę:

— Stary galgan... Ile za to chcecie?

Ale — Kacpura nie odpowiadał. Uniósł brwi — czoło poredliły mu poprzeczne zmarszczki — wpatrzył się w drzewa i wehlał w siebie zapach żywicy.

Po raz drugi zaniósł go ten zapach w lasy okiem nieogarnięte, skąd przez lat piętnaście tęsknił do kraju.

Wyciągnął rękę po paltot:

— Nie pójde... — stęknął — choć mi tu i bida i o zarobek trudno, ale... lepiej u swoich, niż u obcych. Nie pójde...

Weisnął paltot pod pachę i ruszył z powrotem

Żyd patrzył za nim, kręcił głową, nie rozumiejąc...

Lech Pietrzak

Dowcipy „najlepsze”

Jedno z największych pism londyńskich ogłosiło ankietę na temat „Jaki dowcip uważacie za najlepszy”. Wybrano kilkadziesiąt najlepszych znanych historyjek i, ogłaszając je, zdecydowano, by „vox populi” dokonał wśród nich wyboru. Odpowiedzi przyszło wyjątkowo dużo, bo przeszło 10.000 i z kilkudziesięciu dowcipów „głos ludu” wybrał sześć „najlepszych”, które właśnie przytaczamy poniżej.

Oczywiście, wziąć należy pod uwagę, że plebiscyt ten odbywał się w Anglii i dlatego jest odzwierciedleniem specyficznego angielskiego zmysłu humoru, który nie zawsze zgadza się z naszym. Przy tym — zauważmy — większość tych dowcipów jest bardzo stara. Ale to już niczego nie dowodzi. Mówi się przecież, że dowcipy są na ogół dobre i nowe, tylko że te dobre nie są nowe, a te nowe — nie są dobre...

Pierwszą nagrodę otrzymała więc anegdotka o Ludwiku XIV i jego sobowtórze:

Do uszu młodego monarchy doszło, że w stolicy przebywa pewien Anglik, który jest tak podobny do króla, że podobieństwo to wykorzystuje do różnych praktycznych celów. Kazał więc król przywołać go do siebie i, uderzony oczywiście niezwykłym podobieństwem, zainteresował się tą sprawą i zaczął go wypytywać o pochodzenie:

— Czy Twoja matka odwiedzała kiedyś Paryż?

— Tak Wasza Królewska Mość, — odpowiedział młody człowiek, — dość często.

— Powiedz mi, ile masz lat w takim razie?

— Trzydzieści — Wasza Królewska Mość.

— Powiedz mi jeszcze, czy matka twoja była w moim kraju w roku tym i tym, a więc przed trzydziestu laty?

Kurt Micke

Stłuczona waza

Młoda żona obudziła się nagle i szarpnęła męża za ramię:

— Jasiu, tam w pokoju ktoś chodzi...

— Niemożliwe. Wykluczone. Przesłyszało ci się.

— Nie. Słyszałam wyraźnie szmer...

— Śniło ci się...

— Proszę cię, wstań i zobacz...

Mąż milczał. Siadł na łóżku oparty o poduszki i słuchał.

Teraz oboje usłyszeli szelest, jakgdyby ostrożnych kroków.

— Musisz tam wejść — zawołała żona, przekręcając kontakt lampki na stoliku przy łóżku, a równocześnie spojrzała na męża. Był młody. Pobrali się dopiero przed kilkoma tygodniami. Wyglądał jak człowiek silny, zgrabny i wysportowany. Miał w sobie tę dużą pewność, która wzbudziła w niej zaufanie.

Teraz, patrząc na niego, przestraszyła się. Nie dowierzała własnym oczom. Na twarzy jej męża malował się najwidoczniej strach, prawdziwy strach.

— Proszę cię, wstań i zobacz, co się tam dzieje.

W tym momencie dał się słyszeć brzęk tłuczonego szkła.

— Błagam cię, zobacz, co tam jest? — zawołała.

— To muszą być włamywacze...

— Nie — szepnął mąż — Wolę zadzwonić po policję.

Wyskoczyła z łóżka, narzuciła szlafrok i skierowała się ku drzwiom.

— Dokąd idziesz? — zapytał.

— Chcę zobaczyć, co się tam dzieje — odpowiedziała, chwyciwszy w dłoń niewielki rewolwer, raczej zabawkę.

Rezolutnie weszła do drugiego pokoju, przekręcając kontakt przy drzwiach. Na podłodze leżała rozbita waza. Wysoko na szafie siedział kot. Weszła na krzesło i zdjęła kota, który zresztą nie stawał oporu, poczem wyniosła go na balkon. Następnie wróciła do sypialni powoli, z bolesnym grymasem na twarzy.

— Co to było? — spytał mąż.

— Nic. Kot przewrócił wagę i stłukł ją.

Mąż uśmieł się głośno:

— A widzisz, mówiłem ci to odrazu. Wielka rzecz, waza stłuczona...

A żona położyła się do łóżka i płakała bezgłośnie. Zrozumiała, że tej nocy nie tylko stłukła się waza, ale rozbiło się coś jeszcze, co nigdy się już nie da naprawić.

Młody Anglik zrozumiał do czego zdążają insynuacje królewskie.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, — odpowiedział godnie, — ale mój ojciec był wtedy w Paryżu...

* * *

O ile na pierwszą nagrodę zgodzilibyśmy się ostatecznie, bo anegdotka rzeczywiście jest zręczna, to drugie miejsce zajmą zdamiem naszym, „fuks”: Na pewnym egzaminie postawiono studentowi pytanie: „Co to jest poligamia?”

Odpowiedź brzmiała: „Poligamia zachodzi wtedy, kiedy mężczyzna ma więcej niż jedną żonę. Przeciwnostwem do tego jest — monotonia...”

* * *

A teraz z cyklu „nasze dzieci”:

Mały chłopiec i dziewczynka przybyli z rodzicami na wystawę obrazów i, korzystając z tego, że rodzice gdzieś im się zagubili, sami wędrują po salach wystawowych. Stają przed dużym obrazem przedstawiającym Adama i Ewę w raj.

Mała dziewczynka patrzy się nań przez chwilę i potem pyta swego towarzysza:

— Jonny, który jest Adamem?

— Nie bądź głupia, Emmo, powinnaś wiedzieć, że nigdy nie można się tego dowiedzieć, jeśli oboje są nieubrani!

* * *

Słynny był w Anglii przed wojną dr. Mc Intyre, znany dowcipniś i doskonały lekarz. Raz, podczas zwykłego przeglądu swego szpitala, w towarzystwie kilku studentów, podszedł do łóżka pewnego starego pasterza, o którym wiedział, że jest chory na ciężką, nieuleczalną chorobę. Pacjent wyglądał bardzo źle. Doktor go zbadał i rzekł wreszcie smutno:

— No tak, Jack, obawiam się, że nic już dla ciebie teraz zrobić nie mogę!

Nastąpiła pauza i wielki doktor zdążył już oddalić się od łóżka pacjenta, gdy ten zerwał się i zawołał:

— He, doktorze, powiedział pan, że nie może pan dla mnie już nic zrobić?

— Nie — odparł doktor — nic nie mogę...

Nasi milusińscy...

ADAM I EWA

Mały chłopczyk ma przeczytać ustęp z biblij i zaczyna:

— Adam i Ewa żyli w raj. Adam kochał Ewę bardzo i... i... i...

Nauczyciel karci go:

— Znowu nie nauczyłeś się na dziś? Jeśli na następny dzień nie przeczytasz tego zdania płynnie, zostaniesz po godzinach w szkole!

Na następnej lekcji uczeń czyta:

— Adam i Ewa żyli w raj. Adam kochał Ewę bardzo i... — tu musiał odwrócić kartkę, w pośpiechu odwraca dwie, natrafia na historię o arce Noego i ciągnie dalej — i zabił ją mocno gwoździami, wysmarował ją zewnątrz i wewnątrz smołą, aby nie przepuszczała wody...

WSPÓŁCZUCIE

Nauczyciel opowiada w szkole historię Prometeusza: Prometeusz został przykuty do skały w górach Kaukazu. Codziennie przylatywał sęp i szarpał mu dziobem wątrobę. Przez noc goiły się rany, aby sęp mógł następnego dnia na nowo je rozszarpać i znowu wyjeść wątrobę Prometeusza.

— Biedny sęp — mówi wzruszony mały Tadzio — codziennie musi jeść wątrobę!...

DOSKONAŁE

— Ludzi, którzy mają podarte ubranie i nic do jedzenia, nazywamy biednymi — mówi nauczyciel. — Jak się jednak nazywają ci, którzy mają dużo skarbów i pełną spiżarnię?

— Kucharze, panie psorze — wyrывa się mały Jasio.

HISTORIA

— W której ze swoich bitew padł Aleksander Wielki?

— Zdaje mi się, panie profesorze, że to było... e... e... w ostatniej.

LEKcja RELIGII

— Powstałiśmy z prochu i popiołu — mówi ksiądz katecheta.

— A czy murzyni powstałi z sady? — pyta Guccio.

— O, nie może pan? Więc, na miłość Boga, przyslij mi jakiegoś mądrego człowieka, który może...
* * *

No i oczywiście nie może zabraknąć dowcipu o skąpym Szkocie:

Pewien stary doktor szkocki nigdy nie chciał się przyznać do swego wieku. Oświadczał że po jego śmierci wszelkie wątpliwości pod tym względem będą rozwiane, bo wiek jego uwidoczni się zostanie na nagrobku.

Po jego śmierci przyjaciele zaciekawieni rzeźbiłi na cmentarz obejrzeć grób. Ale na grobie było żadnego nagrobka. Była tylko tabliczka przed drzwiami:

„Dr. John Mac Pherson przyjmuje od 10 do 4”

Szóstę miejsce wreszcie zdobył dość smutny dowcip:

Pewien Anglik zwiedzał Nowy Jork i oprowadzający go Amerykanin pokazywał mu wspaniałe drapacze chmur. „Ten wybudowano w ciągu trzech miesięcy” — mówił o jednym. „A ten w pół roku” — mówił o drugim niebotyku. I tak dalej, i tak dalej.

— Czegoś podobnego nie potraficie dokonać w Europie — dodał w końcu z triumfem.

Kilka miesięcy po tym Amerykanin przybył do Londynu. Anglik ów oprowadzał go po rodzinnym mieście. Zaprowadził go przede wszystkim do pałacu Westminsterskie.

— Popatrz — zawołał Amerykanin — jaka piękna budowla! Jak długo budowaliście to?

— Dokładnie nie wiem — odparł Anglik — kiedy przechodziłem tu w zeszłym miesiącu, jeszcze nic na tym miejscu nie było...

Karol

Dymek z fajki

Królowe, jak wszyscy śmiertelni, nie są wolne od pewnych uprzedzeń. Cały świat wie dzisiaj, że królowa Maria angielska nie znosi rozwódek. Nastała babka dzisiejszego króla, królowa Wiktorja nie cierpiała zapachu tytoniu. Wśród jej otoczenia obowiązywał surowy zakaz używania tytoniu.

Pewien znany generał, który odznaczył się w bojach, został w czasie urlopu zaproszony przez królową na zamek Windsor. Gdy przybył, musiał czekać, gdyż królowa odbywała szereg narad i w jęta była załatwianiem spraw państwowych.

Generał był namiętnym palaczem. Po pół godziny czekania, nie znając obowiązującego zakazu palenia, wyjął swą fajkę i zapalił ją. Po kilku minutach przechodzący przypadkowo kamerdyner zwrócił mu uwagę na tę niewłaściwość. Generał zgasił fajkę i czekał dalej.

Minęło następne pół godziny. Niezaspokojone pragnienie palenia dawało się dzielnemu żołnierzowi coraz bardziej we znaki. Ponieważ z pokoju, w którym się znajdował, prowadziły drzwi na balkon, więc wyszedł tam i zapalił.

Już po minucie zjawił się przerażony ogrodnik, który gestami dał mu do zrozumienia, że popełnił niemal przestępstwo. Generał zgasił więc ponownie fajkę i wrócił do pokoju.

Minęły dwie godziny. Królowa, pamiętając, że kazała tak długo czekać zasłużonemu generałowi, chciała uprzejmością naprawić oczekiwanie i wyszła do pokoju, gdzie czekał, by go wprowadzić do sali i tym dowodem wyjątkowej łaski osłodzić mu długie oczekiwanie.

Gdy znalazła się w przedpokoju, zatrzymała się zdumiona. Przed kominkiem leżał na plecach jakiś człowiek, głowę miał wewnątrz paleniska i z wielkimi oznakami głębokiego zadowolenia zaciągał się kłębam dymu ze swej fajki.

Z tego miłego stanu wyrwał go głos królowej, która spytała ze zdumieniem:

— Kto pan jest i co pan tu robi?

Generał wstał, zostawił fajkę na palenisku, podczym, złożywszy królowej głęboki ukłon, odpowiedział:

— „Najjaśniejsza pani, od czterdziestu lat służę już ojczyźnie, ale pierwszy raz zostałem skazany na niepalenie. Nie mogłem opanować chęci palenia, ponieważ zrozumiałem, że w otoczeniu jej królewskiej mości prawo do posiadania jedynie komin, wbrew konieczności musiałem przezeń wypuszczać dym. Mam nadzieję, że najjaśniejsza pani zechce mi w łaskawie wybaczyć”.

Królowa roześmiała się, a na drugi dzień urządzono w zamku pokój do palenia.